P01668/IV

BIBLIOTEKA INSTYTUTU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Cena 1 zł

GEMMA CIVITATIS • PAX •

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI Warszawa 4 września 1955 r. Nr 35 (509)

Cim 8013

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

PRZECIW POKUSIE RAJSKIEJ UCIECZKI

WOJCIECH WIECZOREK

JEDEN z zasadniczych zarzutów podnoszonych często przeciw katolicyzmowi w dyskusjach i polemikach światopoglądowych streścić można następująco: katolicyzm głosząc wiarę w nieśmiertelność duszy i życie pozagrobowe, obiecując zapłatę w niebie za doznane krzywdy i niepowodzenia demobilizuje i odciąga ludzi od walki o szczęście na ziemi. Jest ideologią ucieczki od świata, od jego problemów i konfliktów. Obiektywnie wspierałby on zatem te siły społeczne, które są zainteresowane w utrzymywaniu wyzysku i tolerowaniu ciemnoty. „Jeśli prawdą jest — pisze np. wykładowca historii religii z uniwersytetu strassburskiego prof. Alfaric — że dusza ludzka jest nieśmiertelna, to życie doczesne nie jest warte zabiegów, jest ono bowiem punktem w nieskończoności. Liczy się ono tylko o tyle, o ile służy zdobyciu zasług dla życia przyszłego. Cóż więc wtedy znaczy, że jest się mniej lub więcej nieszczęśliwym, wobec tego, że tą ceną okupuje się wieczną szczęśliwość w lepszym świecie?... W ten sposób masy wierzące trwają w marzeniu mistycznym. Uwiedzione mirażem tamtego świata tracą z oczu otaczającą je namacalną rzeczywistość. Nie myślą nawet skarżyć się na swój nędzny los i patrzą bez zazdrości na garstkę wybranych, dzielących między sobą na ich oczach dobra wytworzone ich własną pracą. Nierówność taka wydaje się im tak całkowicie zgodna z boskim planem, że nie odczuwają nawet potrzeby skargi". Zacytowane uwagi prof. Alfarica oceniające negatywnie funkcję społeczną wiary w Boga pokrywają się z kierunkiem krytyki reprezentowanym przez marksistowskich materialistów filozoficznych. Sformułowany zarzut należy traktować poważnie. Poddaje on w wątpliwość humanistyczną treść światopoglądu katolickiego. Jakże bowiem mógłby być humanistycznym światopogląd, który by wychowywał człowieka w duchu bezradnej uległości wobec zła społecznego?

Nie można przemilczać tego zarzutu, nie podejmować dyskusji. Byłby to co najmniej dwuznaczny unik. Ale również nie można robić zdziwionej miny i utrzymywać, że jest on bezpodstawny. Przeciwnie, trzeba otwarcie przyznać, że pokusa „rajskiej ucieczki"—jak nazwał ją Henri Bartoli — nie jest obca mentalności wielu ludzi wierzących. Niewątpliwie uznać ją trzeba za formę dezercji z pola walki o postęp społeczny świata. Niewątpliwie pasożytują na niej obrońcy okopów św. Trójcy. Czy jednak wyznawanie katolickiego poglądu na świat uprawnia do ulegania tej pokusie? Czy tym, którzy dopuszczają się zdrady wobec ziemi, nie grozi mimowolne sprzeniewierzenie się woli nieba? W poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania sięgnąć trzeba do prawd doktrynalnych katolicyzmu, zastanowić się nad wypływającymi z nich praktycznymi konsekwencjami i w ich świetle szukać generalnych rozstrzygnięć. Problem, który jest przedmiotem dyskusji, wymaga przede wszystkim wyjaśnienia stosunku katolicyzmu wobec doczesności oraz katolickiego ideału wychowawczego człowieka. Rozważania niniejsze są próbą szkicowego ujęcia tych zagadnień.

Doktryna katolicka głosi, że zjednoczenie z Bogiem jest ostatecznym celem dążeń ludzkich. Jest to cel nadrzędny w stosunku do wszystkich innych. Wszystko, co sprowadza człowieka z drogi wiodącej do zbawienia, jako grożące utratą wiecznej szczęśliwości, jest niegodne trudu. Błądzą i szkodzą sobie samym ci, którzy przekładają sprawy tego świata nad troskę o życie wieczne, upatrując w nich cel sam w sobie.

Nie ulega wątpliwości, że katolicka hierarchia celów może wytwarzać w świadomości ludzi wierzących odpowiedni podkład psychologiczny sprzyjający pokusie ucieczki od świata, atakowanego przez bakcyle grzechu, pełnego nieprawości, krzywdy i cierpienia. Czy zatem nie lepiej odgrodzić się od niego w oczekiwaniu na spełnienie się nadprzyrodzonej obietnicy? Pokusa ta, jeśli się pojawia, wypływa z przeświadczenia, że świat jest zasadniczo zły i nie ma możliwości jego naprawy, ani dostatecznych racji, by o to zabiegać, skoro przeznaczeniem człowieka jest życie wieczne. Polemizując z taką postawą wobec świata stwierdzić trzeba, że to pesymistyczne przeświadczenie jest fałszywe i zniekształcające katolicki punkt widzenia. W konsekwencji od niego odbiega. Chrześcijaństwo bowiem afirmuje świat. Afirmuje go przede wszystkim dlatego, ponieważ jest on stworzony przez Boga, jest dziełem Jego miłości. Bóg zaś jest nie tylko samą Miłością, ale także samym Dobrem. Dobro nie może tworzyć zła. Utrzymywać, że stworzenie z samej swej natury jest złe, byłoby obrażaniem Stwórcy, lekceważeniem Jego dzieła. Świat w swej istocie nie jest zły. Szatan może mieć nań wpływ tylko poprzez konsekwencje ludzkich zaniedbań i grzechów, fałszywego pojmowania danej im przez Stwórcę wolności, marnotrawienia otrzymanych talentów. Czy zatem nie błądzą ci, którzy odwracają się od świata, zamiast pochylić się nad nim w trosce o jego kształt zgodny z wolą Bożą?.

Domaga się tego również katolicki ideał wychowawczy człowieka. W świetle katolicyzmu człowiek jest najbardziej umiłowanym dzieckiem Bożym, obdarzonym nieśmiertelną duszą, powołanym do życia nadprzyrodzonego. Mało powiedzieć, że cel ten jest hierarchicznie najwyższy; dążenie do niego nadaje sens ludzkiemu życiu i osądza je. Rację ma prof. Alfaric kiedy pisze, że „liczy się ono tylko o tyle, o ile służy zdobyciu zasług dla życia przyszłego". Warto więc zastanowić się, co powinno być treścią tych zasług, czego katolicyzm żąda od człowieka, jednym słowem — jaka jest cena uszczęśliwiającej wieczności.

Doktryna katolicka określa ją w sposób jednoznaczny: postępowanie zgodne z przykazaniami Bożymi. Wśród nich dwa mają znaczenie podstawowe — przykazanie miłości Boga i bliźniego oraz nakaz czynienia sobie ziemi poddaną, doskonalącej świat twórczości. Oddawanie czci Bogu wiąże się z wypełnianiem zadań na ziemi. Ośrodkiem, wokół którego skupiają się te zadania, jest służba drugiemu człowiekowi. Jest ona siłą napędową aktywności katolików zarówno w skali małej jak i wielkiej historii, zarówno w życiu prywatnym jak i społecznym; jest zrębem, na którym wspiera się katolicki ideał wychowawczy. Nie może być w nim miejsca na małoduszną pokusę rezygnacji z ziemskich zadań.

Istnieje wszakże niebezpieczeństwo, które aktualizując się powoduje w nim rysy i pęknięcia. Dzieje się tak wtedy, kiedy przykazaniu miłości bliźniego nie towarzyszy troska o doskonalenie świata przyrody i społeczeństwa. Człowiek jest wprawdzie — z racji posiadania nieśmiertelnej duszy — istotą wyrastającą ponad przyrodę i społeczeństwo, tym niemniej jest on zarazem częścią przyrody i członkiem określonej społeczności. Warunki, w jakich się znajduje, formują jego osobowość, sprzyjają, bądź utrudniają zbliżanie się ku celowi ostatecznemu. Nie przeceniając ich znaczenia w ekonomice zbawienia, która jest znana tylko Bogu, niesposób zaprzeczyć, że jeśli te warunki są złe, uwłaczające godności człowieka, wówczas ponosi on szkody nie tylko w sensie materialnym, ale także duchowym. „Jak może walczyć o ratowanie swej duszy ten — pisał Henri Bartoli w jednej ze swych rozpraw — komu życie stara się odjąć świadomość, że tę duszę posiada".

Sądzę, że trzeba umieć dostrzec związek istniejący między przykazaniem miłości i nakazem doskonalącej i przekształcającej świat twórczości. Miłości bliźniego nie popartej działaniem zmierzającym do stworzenia mu możliwie najlepszych warunków egzystencji grozi uwiąd. To wielkie przykazanie staje się wówczas frazesem bez pokrycia, sentymentalnym westchnieniem, bądź wzbudzającą niesmak obłudną deklaracją. Czy może być większa obelga dla sumienia człowieka wierzącego? Czymże jest bowiem uchylanie się od rzetelnego spełniania obowiązków wobec bliźniego, jeśli nie obrazą jego Stwórcy? Trzeba sobie jasno powiedzieć, że nie ma w pełni dojrzałej i konsekwentnej postawy służby bliźniemu, jeśli nie obiektywizuje się w dziełach służących ludzkiemu szczęściu, przyczyniających się do wzrostu potęgi i twórczych możliwości każdego człowieka, poszerzających granicę jego wolności, utwierdzających sprawiedliwość.

Czy te wnioski nie pozostają w kolizji z innymi nakazami katolickiego poglądu na świat, określającymi również katolicki ideał wychowawczy? Czy np. nakaz doskonalącej świat twórczości i płynące z niego konsekwencje nie kłócą się z obowiązkiem pokory? Oczywiście jest to przykład jeden z wielu. W doktrynie katolickiej znaleźć można znacznie więcej podobnych antynomii. Na pierwszy rzut oka mogą one sprawiać wrażenie paradoksalnych. Po dokładniejszym jednak wejrzeniu w istotę rzeczy okazuje się, że w tych pozornych paradoksach kryje się wewnętrzna logika. Są one świadectwem bogactwa doktryny ogarniającej pełnię skomplikowanej prawdy o naturze człowieka.

Wracając do przytoczonego przykładu takiej antynomii stwierdzić trzeba tylko tyle, że wraz ze wzrostem potęgi człowieka doskonalącego i podporządkowującego sobie rzeczywistość przyrodzoną obowiązek pokory, widzenie swej roli we właściwej skali nabiera coraz większego znaczenia. Kształtując postawę moralną ludzi jest ważnym czynnikiem powstrzymującym ich od czynienia złego użytku z posiadanej władzy. Niewątpliwym jest bowiem fakt, że wielkość i potęga, których zdobywanie poszerza możliwości człowieka i wzbogaca jego osobowość, uwielokrotniają zarazem pokusę grzechu. Nie chodzi jednak o to, by jej unikać za cenę rezygnacji z walki o ziemskie szczęście, ale o to, by ją przezwyciężać. Wielkość w sensie posiadania ziemskiej potęgi i prawość moralna człowieka nie są wartościami wykluczającymi się, lecz uzupełniającymi.

Kończąc swe uwagi, na pewno dalekie od wyczerpania tematu, chciałbym jeszcze podkreślić, że tylko tak pojęty ideał wychowawczy katolicyzmu będzie ideałem humanistycznym, zgodnym z jego doktryną. W przeciwnym razie grozi mu kalectwo. Nie może również ulegać wątpliwości, że tylko wtedy funkcja społeczna wiary w Boga i życie nadprzyrodzone nie będzie prowadzić do zapoznawania spraw tego świata, lecz pobudzać ludzi wierzących do aktywności w służbie szeroko pojętym celom ziemskim, których spełnianie jest przeznaczeniem człowieka pragnącego osiągnąć swój cel ostateczny.

Wojciech Wieczorek

Ten granat otwierał przed szesnastoma laty pochód faszyzmu. Był wymierzony nie w jeden naród, lecz w człowieczeństwo. Zapowiadał świat zapędzony do krematoriów. Wieścił epokę barbarzyństwa. Ten granat zapisał się w historii po to, aby już nigdy więcej nie wybuchnąć.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Szaleniec

Włożyłem hełm z gazety.
Krzyżują się lampasy
czerwone i czarne
tłuste i wycieńczone.
Maszerują czcionki,
maszerują słowa
przyłapane na krótkich falach.
Po żółtawych płaszczyznach ściany
po białych polach sufitu
maszerują, maszerują...
Trup na śniegu —
to tylko wykrzyknik
postawiony w niewłaściwym miejscu.
Czy można pisać
tylko wykrzyknikami?
Kiedyś terkotały bębny,
armaty dzisiaj łomoczą.
Dlaczego pod moją czaszką?
Przecież ludzi zabija się na powierzchni
Jestem tylko szaleńcem,
jednym z wielu
nadgryzionych przez wojnę.
Mam szpadę z patyka,
szczotka jest moim automatem.
Z wysokości krzesła
bombarduję stolicę Europy.
Płonącymi miastami
zapalam diabłu fajkę
Grzybiasty dym
rozpuszcza tkanki mózgu.
Z czterech rogów
pozwalam nadgryźć zapałce
białą kartkę papieru.
Płoną oceany.
Spalam nadmiar moich myśli –
Znowu jest zieleń,
Niebo jest niebieskie
tak powinno być.
Wszystkie barwy na swoim miejscu,
wszystkie ptaki kołyszą się na gałęziach śpiewu.
Matka przemyła oczy troską.
Brat uważa mnie za dorosłego.
O, jak bardzo dziękuję Bogu,
że jestem tylko szaleńcem,
który nie umie zabić
ani myszy, ani człowieka.

NORBERT KARAŚKIEWICZ

Analfabetyzm muzyczny

ISTNIEJE dzisiaj w Polsce olbrzymia dysproporcja między kilkoma wielkimi ośrodkami bujnie rozwijającej się kultury muzycznej i prowincją, zaczynającą się już przed rogatkami tych ośrodków. Filharmonie, opery, szkoły muzyczne, orkiestry objazdowe i zespoły pieśni i tańca spełniają oczywiście znaczną rolę na odcinku popularyzowania muzyki, pełne jednak jej upowszechnienie nastąpić może przez oddziaływanie ruchu amatorskiego. Na jego terenie bowiem dokonuje się pierwsze zbliżenie do zagadnień muzycznych, pierwsze ich zrozumienie i odczuwanie. Podobnie jak problemu masowego czytelnictwa nie można było rozwiązać samym tylko teatrem, wieczorami literackimi, spotkaniami z literatami i odpowiednimi audycjami radiowymi bez wprowadzenia dobrej książki dosłownie „pod strzechę", nie możemy mówić o masowym upowszechnianiu muzyki bez wprowadzenia dobrej muzyki do życia społecznego i osobistego ogółu odbiorców.

Wiara w wyobraźnię i wrażliwość artystyczną prostego człowieka, konieczność uaktywnienia obojętnej na sprawy muzyczne inteligencji zobowiązuje tym samym organizatorów ruchu amatorskiego do odpowiedzialności za każdy tworzący się zespół wokalny czy instrumentalny, za jego dobór i funkcję jaką pełni na własnym terenie oraz repertuar, od którego zależy nie tylko poziom amatorskiego muzykowania lecz i jego oddziaływanie na środowisko. Nie można przez dziesięć lat powtarzać w kółko, że muzyka jest sztuką szalenie trudną i skomplikowaną, że ogół na niej się nie zna, że na początek trzeba słuchacza zainteresować repertuarem prostym, melodią łatwo wpadającą w ucho... Niestety, organizatorów amatorskiego życia muzycznego w rzadkich jedynie wypadkach interesują potencjalne możliwości i potrzeby społecznego i osobistego życia ludzi prowincji i wielkomiejskich przedmieść. Uznanie ograniczoności percepcji słuchowej i wyobrażeniowej chłopa, robotnika, a nawet inteligenta, brak jasnego sprecyzowania zadań stojących przed ruchem amatorskim doprowadziły do niebywałego zamętu, sprzecznych dyrektyw i fałszywych ocen, nade wszystko zaś do niewłaściwego wykorzystania bujnie rozwijającego się po wojnie amatorskiego muzykowania.

W chwili obecnej bowiem rola ruchu amatorskiego ogranicza się przede wszystkim do tworzenia zespołów pieśni i tańca, które by można wyłącznie eksploatować na wszelkiego rodzaju masówkach i akademiach. Wynikające z takiego stanowiska ambicje repertuarowe zwężają się oczywiście do kilku wiązanek ludowych i pieśni masowych. Wszelkie próby przełamania repertuarowej płycizny rozbijają się z zasady o stanowisko miejscowych organizacji masowych i wydziałów kultury rad narodowych, zainteresowanych wyłącznie w bogatej, po „linii" ułożonej części artystycznej. Ciągłe angażowanie do tego rodzaju akcji zespołów amatorskich nie pozostawia im oczywiście czasu na pracę nad sobą i zniechęca bardziej dojrzałych muzyków - amatorów do praktyki muzycznej w świetlicach. W wielu wypadkach brak właściwej ideowej i artystycznej atmosfery w naszych zespołach amatorskich sprowadza je do roli „muzykantów wiejskich", dorabiających sobie poza godzinami pracy, na weselach i zabawach.

Tam, gdzie jest zrozumienie i gdzie o sprawach kultury decyduje odpowiedzialny fachowiec, zespoły te osiągają wysoki poziom. Fachowców jednak, będących organizatorami naszego życia w terenie wciąż jeszcze mamy za mało; nie zawsze też mają oni możliwości realizowania własnych zamierzeń artystycznych. Istnieje tutaj cały skomplikowany aparat zależności, począwszy od kierownictwa poszczególnych zakładów pracy poprzez czynniki miejscowe, a skończywszy na wydziałach kultury powiatowych czy wojewódzkich rad narodowych. Daje się tutaj zauważyć częsty już nie tylko brak właściwego zrozumienia, ale nawet dobrej woli pomagania ruchowi amatorskiemu.

A przecież pomoc terenu — to również sprawy materialne: zakupienie instrumentów, nut, muzycznych opracowań, rozpisywanie głosów itp... Dobra wola dyrygentów sprawia, że aby utrzymać zespół, troskę o repertuar przejmują na siebie, ślęcząc bezinteresownie po nocach nad instrumentacją czy kopiowaniem nut. Gorzej jednak gdy dyrygent rezygnuje z walki o realizację własnego ideowego i artystycznego programu, lub ulega płytkim ambicjom wkraczających dopiero w praktykę muzyczną amatorów. W większości bowiem wypadków mamy niestety do czynienia z zespołami amatorskimi, kierowanymi przez amatora. Nie można tu również przemilczeć faktu, że nie tylko do świetlic i domów kultury, ale nawet wydziałów kultury przy radach narodowych odkomenderowuje się ludzi nie mających z kulturą wiele wspólnego.

Dużą pomocą dla ruchu amatorskiego może być współpraca z pionem zawodowym. Artyści biorą bardzo czynny udział w życiu amatorskim, są członkami kolektywów artystycznych przy WRZZ wyjeżdżają w teren z fachową poradą i pomocą — źle ustawienie jednak tej współpracy i bazowanie na bezinteresowności zajętego pracą zawodową muzyka czy aktora, sprowadza tę pomoc do minimum. Muzyk zawodowy, przy ograniczonej ilości etatów we własnym zespole, nie może bez uszczerbku dla pracy filharmonii czy opery wyjeżdżać na systematyczne inspekcje terenu. Poza tym przez złe ustawienie akcji patronatowej i poradnictwa amator dopatruje się niejednokrotnie w przyjeżdżającym z poradą muzyku konkurenta własnego instrumentalisty czy dyrygenta.

Sprawdzianem poziomu artystycznego zespołów amatorskich mają być eliminacje, zloty i festiwale. Właściwa ocena i konsultacja po eliminacji pozwala najlepiej zorientować się zespołowi we własnych brakach i znaleźć odpowiednie środki zaradcze. Warunkiem podstawowym jest jednak fachowość samej komisji. Jeżeli w wieloosobowej komisji — np. podczas eliminacji zespołów przy WRZZ w Poznaniu — w większości zasiadają niefachowcy i w dodatku nie zawsze zgadzający się z miarodajną opinią fachowca, ocena mija się z celem, wprowadza w błąd zespoły i zniechęca do dalszej pracy.

Próbując wyciągnąć wnioski z kilku luźnie rzuconych uwag w związku z obecną sytuacją na terenie naszego ruchu amatorskiego, uważam za najważniejsze jasne sprecyzowanie zadań przed nim stojących. Jeśli nie powiemy sobie otwarcie, że ruch amatorski to nie tylko zespoły pieśni i tańca, ale przede wszystkim ruch masowego umuzykalnienia, nie zrealizujemy naczelnego hasła upowszechnienia muzyki, nie ściągniemy na salę koncertową masowego odbiorcy, o którego w tej chwili toczy się walka. Jednocześnie jednak musimy uwierzyć w wyobraźnię tych ludzi, w ich wrażliwość na wszystko co piękne. Nie widzę powodu, dla którego polski robotnik nie miałby grać po pewnym czasie kwartetu Haydna, podobnie jak robotnik niemiecki. Zatrzymywanie go przez dziesięć lat na słabych opracowaniach wiązanek ludowych, ograniczanie jego wiedzy o muzyce do Mazura z „Halki" jest głębokim nieporozumieniem i dowodzi nieporozumienia problemu umuzykalnienia mas. Zespoły pieśni i tańca mogą spełnić olbrzymią rolę w upowszechnieniu muzyki, pod warunkiem jednak, że będzie to muzyka dobra, odznaczająca się dużymi wartościami ideowymi i artystycznymi. Zespoły te nie mogą ograniczyć się w swej pracy do szczupłego kręgu wykonawców; ich obowiązkiem musi być wciąganie do praktyki muzycznej coraz szerszych rzesz amatorów. Jednym z podstawowych elementów repertuaru powinna stać się muzyka kameralna, a więc muzyka pisana na użytek amatora, którą będzie wykonywał nie tylko w ramach popisów i zajęć świetlicowych, lecz i u siebie w domu, w godzinach wolnych od pracy. Kierownicy zespołów świetlicowych powinni urządzać pogadanki na tematy muzyczne, propagować książki, zaznajamiające z życiem i twórczością wybitnych muzyków.

Ostatnią wreszcie sprawą jest współpraca Związku Kompozytorów z ruchem amatorskim i brak dostatecznej ilości fachowych wydawnictw. Źle ustawiony, nieciekawy i bezwartościowy pod względem artystycznym repertuar większości naszych zespołów amatorskich jest wynikiem obojętnego stosunku do tych zagadnień Związku Kompozytorów. Nie pomogło zaproszenie CRZZ skierowane przed dwoma laty pod adresem kompozytorów, którzy wysłali nawet swych delegatów na objazd terenu. Do tej pory amator czeka na utwory wyraźnie dostosowane do potrzeb zespołu, utwory o ładnym brzmieniu i ciekawej linii melodycznej. Nie odpowiadają im niestety — nieliczne zresztą — kompozycje współczesne, albo zbyt trudne jak na początek, albo też nie odpowiadające składem instrumentalnym, poszczególnych zespołów.

Zrozumiałe są u każdego kompozytora ambicje pisania muzyki estradowej. Nie zapominajmy jednak, że Haydn, Mozart czy Beethoven pisali muzykę kameralną z myślą o amatorze, którego umiłowanie muzyki i chęć jej uprawiania wyrobiły pokolenia poprzednich kompozytorów.

Norbert Karaśkiewicz

Redaguje Zespół
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkładodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.
Zam. nr. 1870
B-6-17980

STEFAN JOŃCZYK

Katolicyzm w Indiach

MINĘŁY czasy, gdy patrzyliśmy na Indie przede wszystkim jako na uroczy zakątek świata, kraj egzotyki, dziwności, kryjący cuda fauny, flory, jako na mozaikę prastarych kultur ludów i kast, kraj otoczony nimbem poezji, spowity w czar legend. Potężna fala zainteresowania ojczyzną Mahatmy Ghandiego i Jawaharlala Nehru ma bardziej realne i zasadnicze podstawy i źródła. Kierują tam spojrzenia nie wyrafinowani artyści, poeci, szukający zaspokojenia swych przesubtelnionych gustów, nie po naukę jogów i nie dla snobizmu zwracają dziś ludzie swoją uwagę ku Indiom.

Indie przestały być biernym obiektem, którym można się delektować, ale niekoniecznie trzeba się z nim liczyć. Ten kraj o powierzchni 4 milionów km² i ludnością powyżej 400 milionów obudził się z długotrwałego letargu politycznego, otrząsnął się z przemocy angielskiego kolonializmu i jako wolny, niepodległy, ujawszy sprawy bytu narodowego we własne ręce wkroczył czynnie na arenę polityki międzynarodowej. Jest dziś wielką potęgą, odgrywającą coraz wybitniejszą rolę, zwłaszcza na Dalekim i Środkowym Wschodzie, i z tym faktem muszą się liczyć mocarstwa światowe.

Zdobycie suwerenności przez Indie stanowi pokaźny przełom w historii Azji, ma dla tego (i nie tylko tego) kontynentu niebywałe, brzemienne w skutki znaczenie. Ów historyczny moment wpływa decydująco na odmienny niż dotąd bieg spraw politycznych, społecznych, gospodarczych, kulturalnych itd., powoduje w tym zakresie specyficzną i ze wszech miar interesującą konstelację problematyki.

Omówienie całości związanych z tym zagadnień mogłoby być przedmiotem specjalnych studiów, a nie krótkiego artykułu. Zatrzymajmy się na jednym, choć bynajmniej nie marginesowym wycinku problematyki współczesnych Indii. Interesuje nas tutaj sytuacja katolicyzmu w Indiach; rzecz o tyle ważna, że Indie stanowią kluczowy teren ekspansji katolicyzmu w Azji, a jako placówka misyjna mają najwięcej w tej części świata danych, sprzyjających twórczej adaptacji Kościoła w warunkach specyficznych kultur i prastarych tradycji. Jednocześnie sytuacja katolicyzmu w Indiach jest skomplikowana bardziej niż w jakimkolwiek misyjnym czy niemisyjnym kraju.

Nie zrozumiemy sytuacji Kościoła katolickiego w Indiach nie znając struktury społecznej tego kraju. Jak wiemy, Anglicy zrzekając się zwierzchnictwa nad Indiami przyczynili się do podziału Indii na dwa odrębne państwa: Hindustan (360 mln. ludności) i Pakistan (76 mln. ludności). Za podstawę kryterium podziału przyjęto czynniki religijne. I tak Hindustan miał być dla wyznawców hinduizmu, a Pakistan dla Muzułmanów.

Uwagi nasze o sytuacji katolicyzmu w Indiach będą dotyczyły stosunków w Hindustanie.

Ustrój społeczny Indii do niedawna opierał się na kastowości. Oblicza się, że w Indiach istnieje jeszcze teraz około 3000 różnych kast społeczno - religijnych. Kastowość utrwalała przywileje społeczne pewnych grup, a dyskryminowała inne warstwy ludności. Praktycznie wytworzyła się klasa panów (kasta Hindu) i niewolników, parlasów (kasta tzw. niedotykalnych).

Spis ludności, przeprowadzony w Indiach w roku 1951, określa liczbę pariasów na 51 milionów, tj. 144 na tysiąc mieszkańców Indii. Ogromna ich większość żyje w warunkach wprost niewolniczych. Są oni z reguły zmuszani do mieszkania w zbiorowiskach jam ziemnych, z dala od centrum wsi; niewielka część ma nieco ziemi, reszta pracuje jako robotnicy rolni, inni spełniają poniżające prace na wsi, takie, którymi się brzydzi członek kasty Hindu. W miastach trudnią się głównie oczyszczaniem ulic. Ci wyrzutkowie prawie wszędzie napotykają na trudności w zdobywaniu świeżej wody, odpychani są od studni wiejskich i częstokroć muszą prosić Hindu, aby nabrał dla nich wody, gdyż dotknięcie ich (według przekonań kastowych) zakaża źródło. Wejście do świątyń jest dla nich wzbronione. W ciągu pięciu lat istnienia demokratycznego państwa hinduskiego sytuacja pariasów niewiele zmieniła się na lepsze. Wśród tych właśnie pariasów misje chrześcijańskie odnoszą największe sukcesy. Praca misji w dużym stopniu polega na podnoszeniu pozycji bytowej pariasów i w ogóle uciskanych i zacofanych klas ludności. Nie leży to w interesie kast Hindu, które w związku z tym oskarżają misjonarzy o burzenie porządku społecznego i politycznego. Konflikt między chrześcijanami a wyznawcami Hindu szczególnie jaskrawo zarysowuje się w dwóch państwach federacji hinduskiej: Bihamu i Mathye Pradesh, w których nawróceni na chrześcijaństwo pochodzą w większości z kast niższych, stanowiących w Indiach ludność autochtońską. Autochtoni ci byli prześladowani przez Hindusów i stąd żywią ku nim niechęć. Aby nie dostać się pod panowanie Hindusów, wszczęli oni agitację celem stworzenia własnego państwa. Ponieważ nawróceni na chrześcijaństwo stanowili najbardziej wykształconą część kast niższych i stali na czele przeciw hinduskiej opozycji — czynniki rządzące doszły do wniosku, że Kościół powoduje w kraju tendencje separatystyczne, stąd sprzeciwiają się one pracy misjonarskiej pośród plemion nie należących do kast. Podyktowane to jest obawą, by wraz z ich przejściem na wiarę chrześcijańską nie wzrosła również ich opozycja w stosunku do rządzących kast hinduskich (Partia Kongresowa).

Centralny rząd Indii poprzez specjalne dekrety bierze wydziedziczone dotąd kasty w opiekę prawną, niestety, rządy poszczególnych prowincji stosują dyskryminację wobec tych, którzy są katolikami.

Niechęć, czasem wręcz wrogość Hindusów do katolicyzmu ma różne źródła. Kościół przez długie wieki kojarzył się w umysłach Hindusów z dążącymi do podbojów i kolonizacji, a wskutek tego znienawidzonymi Europejczykami — był on uważany za sługę imperializmu, który pod aksamitną rękawiczką ukrywa żelazną pięść, za przedstawiciela obcej Indiom kultury. W ten sposób przynależność wyznaniowa nabrała charakteru politycznego. W powszechnej opinii hinduskiej ten, kto wyznaje inną niż hiduizm religię, ten nie jest w stu procentach obywatelem Indii i solidnym patriotą. Na tym tle rozwinęła się ostra kampania przeciwko misjom chrześcijańskim, którą to kampanię rząd centralny stara się złagodzić, nie chce tej sprawie nadawać jakiegoś religijnego zabarwienia. W konstytucji z 1950 roku Indie są określone jako państwo świeckie, w którym żadna religia nie cieszy się szczególnymi względami. Minister spraw wewnętrznych w Delhi dr Katju, dyskutując w Izbie Niższej sprawę misji, oświadczył, że jest to jedynie problem polityczny i narodowy, problem prawa i porządku publicznego. „Jeżeli — stwierdził minister — ktokolwiek rozpoczyna wyścig wyższości pomiędzy wierzeniami, wtedy staje się to sprawą prawa i porządku i naród nie może tego dzisiaj tolerować". Pandit Nehru wyjaśnił swoje poglądy na zagadnienie misji, przesyłając w lipcu zeszłego roku list do komitetów prowincjonalnych Kongresu. „Jeżeli chodzi o misjonarzy zagranicznych — pisał — nie jest to kwestia religijna, ale raczej kwestia dopuszczenia do naszego kraju cudzoziemców, bez względu na cel ich przybycia. Witamy ich, ustanawiamy jednak szereg przepisów dotyczących ich wjazdu, które nie mają nic wspólnego z religią".

To zarządzenie rządu dotyczące wjazdu do Indii i działalności misjonarzy cudzoziemskich zawiera pięć punktów:

1. — Zezwala się na wjazd do kraju misjonarzy zagranicznych specjalnie wykwalifikowanych i doświadczonych jedynie w celu zastąpienia członków misji już istniejących na terenie Indii i to jedynie w wypadku, gdy zastępstwa tego nie można dokonać przez duchowieństwo miejscowe.

2. — Misjonarze, którzy obecnie przebywają w Indiach, mogą nadal prowadzić swą działalność misjonarską, z tym, by praca ich nie dawała powodu do niezadowolenia ze strony rządu.

3 — Misjonarze, którzy przebywali już w Indiach przeszło pięć lat mają prawo wjazdu do kraju bez specjalnych zezwoleń. Z tych prerogatyw mogą również korzystać misjonarze, którzy opuszczają kraj na krótki okres czasu.

4. — Misje działające na terenie Indii bez zewolenia rządu mogą otwierać nowe placówki jedynie za zgodą władz państwowych.

5. — Misjonarze pochodzący z państw należących do Wspólnoty Brytyjskiej podlegają tym samym rozporządzeniom w sprawie wiz wjazdowych co i inni cudzoziemcy.

Poza względami politycznymi Hindusi mają bardziej zasadnicze opory w przyjmowaniu chrześcijaństwa. Stanowią je obyczaje kastowe. Nad każdym członkiem kasty hinduskiej, który zechciałby przejść obecnie na katolicyzm, natychmiast zawisłaby groźba usunięcia go poza nawias społeczeństwa hinduskiego. Jest prawie niemożliwe dla Hindusa z wyższej kasty przejście na katolicyzm. Byłby on zmuszony do porzucenia swoich rodaków i to w sposób, który wydaje się trudny do usprawiedliwienia i nielojalny w stosunku do najgłębszych więzów rodzinnych oraz tradycji. Jeżeli trudność ta mogłaby być przezwyciężona, to pozycja katolicyzmu w Indiach zostałaby zrewolucjonizowana.

Inny problem, na jaki napotyka misja Kościoła w Indiach — to trudność przekonania Hindusów o powszechności Kościoła Chrystusowego. Hindusi uważają, że katolicyzm w Indiach przywdział europejski strój. Warunkiem powodzenia misji w Indiach jest dostosowanie zewnętrznych akcesoriów Kościoła do miejscowej cywilizacji. Idzie tu przede wszystkim o adaptację sztuki, muzyki i architektury kościelnej.

O. Mascarenhes z Bombaju w książce pt. „Kwintesencja hinduizmu" wywodzi wnikliwie, że bezpośredni kontakt z hinduizmem może wzbogacić myśl katolicką, tak jak kiedyś została ona wzbogacona poprzez prace św. Augustyna i św. Tomasza — myślą grecką. Ten katolicki misjolog znający Indie napisał: „Indie potrzebują Kościoła Powszechnego; czy nie jest jednak prawdą, że Kościół potrzebuje Indii dla coraz i coraz dalszego postępu w pojmowaniu ludzkości i w wyrażaniu swej własnej prawdy?"

Mimo skomplikowanych warunków społeczno - religijnych i politycznych można powiedzieć, że sytuacja kościoła katolickiego w Indiach jest od strony prawnej dość pomyślna. Kościół ma zagwarantowaną w konstytucji wolność, religia katolicka jest równouprawniona z innymi wyznaniami. Prawo do wolności religii pociąga za sobą prawo do jej nauczania, praktykowania i propagowania. Kościół może posiadać swe własne instytucje i posiadłości.

Niezależnie od działalności misji zagranicznych należy spodziewać się stopniowego rozwoju Kościoła w Indiach. Wśród duchowieństwa Hindusi stanowią większość. Pod tym względem spośród innych azjatyckich krajów Indie przodują: na 65 okręgów kościelnych w ponad czterdziestu na czołowych stanowiskach są Hindusi. Na 5 501 księży około 4 000 to Hindusi, spośród około 1 600 kandydatów przygotowujących się do stanu kapłańskiego większość stanowią również Hindusi. Stwarza to pomyślne perspektywy dla rozwoju Kościoła w Indiach.

Stefan Jończyk

STEFAN LICHAŃSKI

LOSY PAWŁA STRĄCZYŃSKIEGO

DZISIAJ w piątek, pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, ja, Paweł Strączyński, liczący dwadzieścia lat życia, byłem świadkiem zjawiska, które nazywa się „wybuchem wojny".

Podchorąży Strączyński będzie następnie świadkiem innego godnego uwagi i pamięci zjawiska: kampanii wrześniowej. Będzie świadkiem naocznym a zarazem współautorem i kronikarzem owego dramatu historycznego. Jemu to bowiem powierzy Jan Józef Szczepański opowiedzenie dziejów września 1939 roku*). Wybór podchorążego na narratora to nie jest zły pomysł. Oficer mógłby naszpikować swoje opowiadanie wojskową fachowością niestrawną dla cywila, prosty żołnierz miałby zbyt ograniczony zakres możliwości obserwacyjnych. Podchorąży to taki wojskowy średniak, który przynależy po trochu do środowiska żołnierskiego, ale po trochu także do oficerskiego. No, i przedwojenny podchorąży, człowiek ze średnim co najmniej wykształceniem, powinien wykazać pewną dozę inteligencji w obserwowaniu zdarzeń i ich relacjonowaniu.

Szczepański nie zawiódł się na swoim Pawełku: ten chłopak jest bystrym obserwatorem, a o wszystkim, co zobaczy, umie opowiadać pięknie, żywo, z polotem. Ma styl wyrobiony, precyzyjny, styl nie obciążony balastem ozdobników, trafnie i dokładnie określający przedmiot narracji. Metafora nie jest w tym opowiadaniu dwudziestoletniego podchorążego gzymsikiem, sztukaterią, ale skondensowanym w obraz stanem psychicznym lub sytuacją. Oto próbka: „Przyjechałem do Bielska późnym wieczorem. Na pustej i ciemnej stacji samotny żandarm odliczał leniwie ciężkie kroki. Ulice wyludnione, szerokie, zapadały gdzieś w odległe perspektywy nocnej ciszy. Z daleka nadjechał maleńki, zapóźniony tramwaj, w którego pustym wnętrzu ślaniał się, jak larwa w napełnionej niebieskim płynem probówce, senny konduktor".

Ta metafora nie jest udziwnianiem zaobserwowanej sytuacji, jest wyciągniętym z niej wnioskiem artystycznym i skrótowym obrazem stanu psychicznego Pawła, który spodziewał się wpaść w ogromny, pulsujący entuzjazmem, pośpiechem, a zarazem działający skrupulatnie i celowo mechanizm pracy mobilizacyjnej, a znalazł się w ospałej, leniwej, pospolitej atmosferze układającego się do snu prowincjonalnego miasta.

A przypomnijmy sobie fragment zamykający opis bitwy pod Aleksandrowem: „Tymczasem nieprzyjaciel ostrzeliwał coraz zajadlej pola za naszymi plecami. Nie miałem czasu zastanawiać się, po co to robi, ale w pewnej chwili ktoś szarpnął mnie za łokieć. — Niech pan popatrzy — wybełkotał zdławionym głosem Kanter. Obejrzałem się. Na środku ciemnej równiny płonął zwichrzonym krzakiem ognia przewrócony wóz. Przez migotliwy prąd czerwonej łuny przesuwały się galopem inne taborowe furgony, pędziły w dziwnych podskokach zgięte sylwetki ludzi i cienie cwałujących jeźdźców. Oślepiające fontanny wybuchów odsłaniały fantastycznie coraz nowe sceny tej ucieczki. Widok ten urzekł nas swoją grozą. Teraz odwracaliśmy ku niemu nieustannie głowy między jednym a drugim strzałem, coraz pewniejsi, że i nam przyjdzie wkrótce ruszyć tą drogą(...)

— Strzelać, strzelać! Wciąż te same dane — krzyczał gdzieś w pobliżu porucznik Herbst. Ostatnich kilka zapałek grzechotało mi w pudełku. Musiały kończyć się wszystkim, bo nasz ogień słabł. Otwierały się w nim coraz szersze, czarne szczeliny. Poprzez jedną z nich dosłyszałem skrzypienie podjeżdżających przodków i raz jeszcze ze skurczem strachu w gardle spojrzałem na kotłująco się dziko drogę odwrotu".

Ta proza nie relacjonuje, ona przedstawia z imponującą celnością klęskę i paniczny, bezładny odwrót rozbitych oddziałów. W ogóle opisy batalistyczne Szczepańskiego należą do najlepszych fragmentów jego książki. Nie są one komponowane dla efektu czysto malarskiego (jak to ma miejsce u Sienkiewicza), ale bardzo realistycznie, z zachowaniem pełnego prawdopodobieństwa, widziane zawsze z określonego stanowiska obserwacyjnego, na którym znajduje się bohater powieści. Szczepański nie stara się wtłoczyć w opis wszystkiego, co *wie* o wojnie, o przebiegu bitew, o wojskowej taktyce i strategii; pozostaje przy tym, co *widzi*. Konstruuje on silny, wyrazisty obraz z fragmentów, które rzeczywiście mogły być dostrzeżone przez współczesnika bitwy oglądającego ją z określonego stanowiska i w perspektywie swoich własnych konkretnych zadań bojowych. Batalistyka Szczepańskiego imponuje autentyzmem obserwacji oraz rzeczowością i plastyką opisu. Pod tym względem „Polska jesień" jest pozycją o wielkim znaczeniu literackim. Szczepański nie jest mitologiem wojny jak np. Sienkiewicz, lub — odmienną zgoła mitologię uprawiający — Żeromski, jest jej wspaniale utalentowanym reporterzystą.

Reporterzysta... Czuję, jak w uszach wielbicieli Szczepańskiego zgrzytnęło to słowo. Nie używam go jednak w sensie obelżywym dla autora „Polskiej jesieni". Przypomniał mi się po prostu trójpodział Irzykowskiego na literaturę zbierającą materiał, walczącą i ziszczającą. Otóż powieść Szczepańskiego reprezentuje właśnie fazę gromadzenia materiałów, fazę literackiego autentyzmu. Reprezentuje ją w najlepszej formie (dlatego też nie zawahałem się zestawić tego pisarza jako batalisty z Sienkiewiczem i Żeromskim), ale bez jakichkolwiek szerszych perspektyw. Wojna jest u Szczepańskiego zjawiskiem samym w sobie, jest żywiołem. Tak samo można by opisywać np. powódź lub jakiś olbrzymi pożar lasu czy trzęsienie ziemi. Słabą stroną każdego autentyzmu jest to, że pozostaje on nieodwołalnie i wyłącznie w kręgu *zjawisk*.

Nie inaczej ma się rzecz w powieści ze światem ludzi. Szczepański umie bardzo sugestywnie kreślić postacie bohaterów. Zjawiają się figury epizodyczne — i znikają po dwóch czy trzech stronicach z naszego pola widzenia. Mimo to nie sprawiają one wrażenia płaskich, pozbawionych bryłowatości sylwetek. Są nakreślone wyraziście i mocno, silnie wbijają się w naszą pamięć ich cechy charakterystyczne. Szczepański bardzo konsekwentnie stosuje konwencję opowiadania bezpośredniego: jego Strączyński wie o ludziach tyle, co powiedziały mu ich słowa i czyny. Ale nawet i to określenie jest jeszcze zbyt szerokie. Powiedzmy raczej: Stra-

*) Jan Józef Szczepański: „Polska Jesień". Wydawnictwo Literackie. Kraków 1955 r., str. 349, 3 nlb

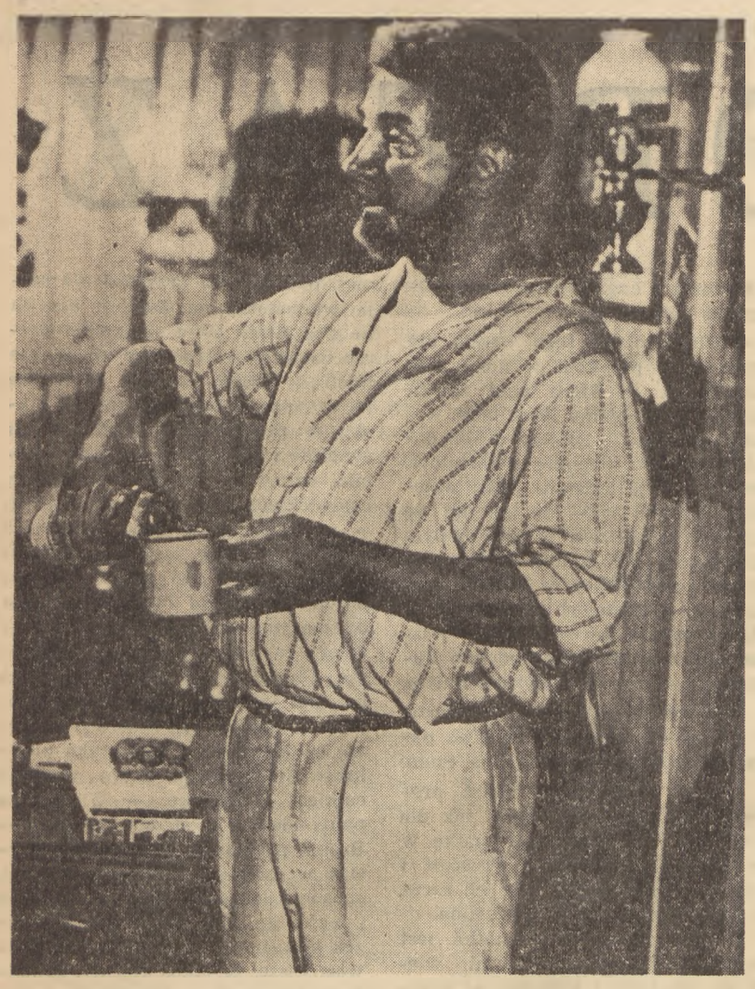

Pierre Brasseur w roli kapitana „Nelly"

ANDRZEJ SZOMAŃSKI

Człowiek pozostawiony sam sobie

Rozważania na marginesie filmu „Pierwszy po Bogu"

1.

FILM francuski nie od dzisiaj przynosi swym odbiorcom duży ładunek problemów często nierozwiązanych, a tylko rzuconych.

Niepokoi i denerwuje — ale rzadko kiedy pozwala po skończonym seansie przejść widzowi do porządku dziennego. Odnosi się to w równym stopniu do jego ideowej treści jak i do jego wartości formalnych. Do filmów, które szczególnie prowokują do dyskusji bezwzględnie należy „Pierwszy po Bogu" Louis Daquina. Jest to film, którego cała treść obraca się w kręgu problemów etycznych. Tematycznie film nawiązuje do czasów tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej — do czasów rosnącej fali nazistowskiego obłędu.

Kapitan (gra go świetnie Pierre Brasseur) i zarazem armator holenderskiego statku zawozi z Afryki do Hamburga ładunek orzechów kokosowych.

Jest rok 1938 i Żydzi niemieccy jeszcze wszelkimi drogami uciekają z trybów hitlerowskiej maszyny państwowej. Dość duża ich grupa za odpowiednią cenę zostaje przyjęta na wspomniany statek i ma być przewieziona do Aleksandrii. Okazuje się jednak, że wizy wystawione im były fałszywe i władze egipskie nie chcą ich wpuścić. Kapitan, mając do wyboru powrót do Hamburga i pozostawienie ich hitlerowcom, albo poszukiwanie wybrzeża, gdzie można by ich mniej lub więcej nielegalnie wysadzić — wybiera tę drugą możliwość. Płyną przez Atlantyk, ale władze amerykańskie nie chcą słyszeć o ich przyjęciu. Większość emigrantów jest w stanie depresji, część załogi chce wracać do Hamburga. I wówczas następuje pozornie „szczęśliwy zbieg okoliczności". Niedaleko wybrzeży Stanów Zjednoczonych odbywają się regaty. Kapitan decyduje się na zatopienie statku po uprzednim wysadzeniu emigrantów i załogi. Na jachtach amerykańskich są dziennikarze, przedstawiciele opinii publicznej — jest więc pewna gwarancja, że nieszczęśni ludzie znajdą w końcu azyl, że staną się wolni. Widz doznaje więc pewnego uczucia ulgi, ale wie jednocześnie, że decyzja zatopienia statku w myśl prawa morskiego kosztować będzie kapitana parę lat więzienia.

Naczelny problem filmu to stosunek do człowieka. Jest on skonkretyzowany w postaci kapitana statku i kolejne fazy filmu pokazują budzenie się ofiarnej, pełnej zrozumienia dla ludzkiej krzywdy postawy u człowieka — gdyby mierzyć kategoriami zdawkowych ocen — „złego". Bo kapitan „Nelly" obok wszystkich przymiotów wilka morskiego jest niezłym macherem od brudnych interesów.

Jeszcze podczas zawierania umowy o przyjęcie żywego „ładunku" uchodźców — podchodzi do sprawy czysto komercyjnie, tak jak gdyby to był naprawdę ładunek... Już scena brutalnego „pożegnania" Żydów przez oddział SS stanowi dla niego pewien wstrząs — widok rannych dzieci, których rodzice zginęli pomordowani, sygnalizuje narastanie protestu wobec objawionego mu nagle faszyzmu. Trudno przypuszczać, by ludzie tego typu zdawali sobie sprawę, jak głęboko sięgają korzenie rasowej nienawiści i jakie były nurty, z których czerpały one swą moc. Faktem jednak zostanie, że kapitan zdaje sobie sprawę z istnienia i rozszerzania się „zarazy" — nienawiści człowieka do człowieka. Dalszy rozwój wypadków pokazuje konsekwentnie, jak świadomość tego, że „nie ma sprawy żydowskiej, tylko jest sprawa chrześcijańskiego sumienia", staje się dlań coraz bardziej wyraźna.

DLA katolika film ten jest szczególnie interesujący, gdyż obok najistotniejszej w nim sprawy stosunku do człowieka porusza także problem ingerencji Boga w życie ludzkie. Perspektywa i proporcje tych spraw zostały jednak w filmie mocno skrzywione. Kapitan statku po rozmowie z rabinem, który prosi o Biblię, a następnie cytuje z niej fragment o prześladowaniu Żydów — zatapia się w jej lekturze. W efekcie wpada w charakterystyczny dla ludzi tego typu trans jakiejś osobliwej mieszanki mistycyzmu z sarkazmem — począwszy od tego momentu będzie się on wręcz domagać od Boga, żeby zesłał anioła celem wyratowania z prawie beznadziejnej sytuacji. Pojmuje przy tym moralny sens prób ocalenia powierzonych mu ludzi — toteż traktuje je również jako próbę rehabilitacji własnej godności.

Tym ważniejsza to sprawa, że jako kapitan, jako „pierwszy po Bogu" na swym statku, jest przede wszystkim odpowiedzialny za powierzony mu ładunek. „...A życie 150 ludzi jest więcej warte niż kupa żelastwa" — mówi przed zatopieniem „Nelly". Przy takim napięciu problematyki, przy takiej — zdawałoby się—„jednoznaczności obrazu" zupełnie fałszywym dźwiękiem jest bezustanna próba jakiejś ironicznej karykaturalizacji problemu wpływu Boga na ziemskie sprawy. Wszystkie te dialogi kapitana na tematy teologiczne, po francusku błyskotliwe, pachną na milę XVIII-wiecznym libertynizmem i czasem żałuje się, że scenarzysta włączył je do filmu, zamazując tylko realistyczną wymowę obrazu. Człowieka wierzącego musi także zaniepokoić przedstawiony w „Pierwszym po Bogu" stosunek ludzi reprezentujących chrystianizm do ludzi potrzebujących pomocy.

Na samym początku stajemy wobec misjonarzy, którzy robią kokosowe (dosłownie) interesy, wykorzystując naiwną wiarę Murzynów. Dalej — pastor, który przybywa na pokład „Nelly" w wojskowej asyście, usiłujący wmówić kapitanowi że najrozsądniej byłoby zawieźć emigrantów z powrotem i że w jego sytuacji nie koliduje to z poczuciem miłości bliźniego. Twórcy filmu niewątpliwie podchodzili do tych zagadnień z laickiego punktu widzenia, ale mimo to można mieć do nich uzasadnioną pretensję, że obok tych przykładów nadużycia religii nie pokazali żadnej przeciwwagi, żadnego przykładu prawdziwego chrystianizmu. Chciałoby się widzieć bardziej optymistyczne przykłady humanistycznej postawy wobec faszystowskiej pogardy dla ludzi — niż samotny człowiek, który w obliczu wielkiej próby poświęca osobisty los, by pozostać nadal samotnym. W tym miejscu aż ciśnie się określenie jednego z krytyków francuskich — Bertranda de Jouvenel — zastosowane w odniesieniu do współczesnej literatury francuskiej: człowiek pozostawiony sam sobie. Ile tragicznych doświadczeń trzeba było ponieść, żeby przekonać się, że do przeciwstawienia się „siłom nocy" zbyt wątłe były wszelkie próby oparcia się na indywidualistycznej etyce. Przeciw zbiorowej psychozie można zastosować tylko zbiorową terapię. Droga kapitana „Nelly" była inspirowana raczej intuicyjnym wyczuciem sprawiedliwości — a to nie wystarcza nam dzisiaj, kiedy problem stosunku do człowieka jest nadal „pierwszy po Bogu" — a przynajmniej winien nim być.

Jeśli kapitan „Nelly" jest na początku filmu człowiekiem, w którego życiu i poglądach nie widać działania silniejszych imperatywów etycznych — to cały film wypełniają do pewnego stopnia dzieje jego walki o znalezienie Boga. „Jesteśmy tak brudni, że gdybyśmy choć na chwilę przyjęli istnienie Boga — to wiedzielibyśmy, że musimy się nieuchronnie smażyć w piekle" — mówi do swego pomocnika. Ileż prawdy jest w tym stwierdzeniu — ileż wypadków ucieczki od wiary miało swe źródło w świadomości własnej lichoty moralnej. A postawa chrześcijańska zmusza do nieustannej konfrontacji własnego postępowania z nadrzędnym układem wartości moralnych, jaki jest konsekwencją istnienia religii. Kiedy kapitan zapytuje rabina Uppenheima, gdzie jest Bóg — tamten odpowiada: spójrz w oczy bliźniego, a ujrzysz Go. Nie trzeba chyba wskazywać na to, jak dalece ta wypowiedź jest naturaliter chrześcijańska. Na pewno w intencjach twórców filmu nie leżało ukazanie wartości tej etyki w momentach najcięższych prób ocalenia godności ludzkiej, ale obiektywna wymowa filmu świadczy o tym, że „człowiek nie umiera". W tym miejscu zerwie się wicher protestów i zastrzeżeń — że jak to, przecież ludzie, w których następują te przemiany, są na końcu dalecy od afirmacji religii. Formalnie — tak. W istocie — nie. Czyż poświęcenie kapitana nie było czymś więcej niż zwykłą próbą uratowania wiary we własne siły, dążeniem do przełamania losu? — gdyż i takie wnioski można by z filmu wyciągnąć. I nie byłoby to pozbawione podstaw — znamienny u ludzi morza, u conradowskich samotników, upór w pokonywaniu trudności — tym większy, im większe przeszkody. Owa słynna „wierność samemu sobie", prowadząca w konsekwencji do załamania i klęski. Jednak kapitan „Nelly" nie skapitulował i wygrał. Wygrał ostatecznie w momencie, kiedy podjął decyzję ocalenia transportu Żydów kosztem zatopienia własnego statku i perspektywy więzienia. Za tę cenę odzyskał wiarę w człowieka, mając jednoczesne przekonanie, że służąc ludziom najlepiej służy się Bogu. I widz jest głęboko przekonany, że to, co działo się w świadomości kapitana, przekraczało swym ciężarem gatunkowym jego drażniące pogaduszki filozoficzne, że było mocniejsze nawet niż ojcowskie roztkliwianie się nad sierotami, których los był w jego rękach.

Nie podlega dyskusji, moim zdaniem, że twórcy filmu obrali „pierwszym po Bogu" właśnie człowieka, który nie ma obiektywnie zbyt wielu danych na to, aby reprezentować tych, co wyszli siłom nocy naprzeciw. Tu dochodzimy do społecznego momentu filmu, którego zresztą nie da się już oddzielić od momentu etycznego w żadnej sytuacji życiowej.

BOLESNY to fakt dla człowieka wierzącego, że w społeczeństwie chrześcijańskim prawdziwe chrześcijaństwo reprezentuje człowiek, który oficjalnie jest poza nim, który dopiero dochodzi do niego i to drogą różniącą się od utartych ścieżek powrotu. Nie ma chyba potrzeby tłumaczyć, że nie jest to zjawisko typowe, pod które można by podciągnąć cały obóz chrześcijański w okresie przed drugą wojną. Niemniej jednak jest to sygnał alarmowy dający znać o niebezpieczeństwie, które już grubo wcześniej zarysowało się w łonie społeczeństw chrześcijańskich — rozszczepienie między głoszoną nauką Chrystusową a między praktyką życiową wielu ludzi, którzy się do niej przyznają. Iluż ludzi odstręczyła od katolicyzmu antypropaganda jego zasad, jaką niosła działalność rozmaitych arcychrześcijańskich rządów, starannie opatulonych w ewangeliczne zasady klas oraz jednostek kryjących za obliczem Tartuffów — pogardę dla człowieka i brud moralny!

Kapitan „Nelly" spotykając się z pastorem amerykańskim — który nie wiadomo czy więcej czuje się przedstawicielem władz wojskowych czy głosicielem Ewangelii — widzi i pojmuje, że ten człowiek nie jest dobrym chrześcijaninem. Jest w tym fakcie obok pewnej goryczy również objaw krzepiący — kapitan nie zraża się tym, nie daje uśpić swego sumienia rezygnacją z dalszych prób ocalenia emigrantów, choć „wszystkie armie świata są przeciwko niemu..."

Ile w tym wszystkim rysów, które pozwalają stwierdzić, że autorzy filmu stojąc na pozycjach dalekich od katolicyzmu dają — obiektywnie rzecz biorąc — rozwiązanie, które jest bliskie katolickiego punktu widzenia na te sprawy! Niech nas przy tym nie dezorientuje to, co jest dla nas oczywiście rażące — owo za pan brat z Bogiem czy wyraźne miejscami przegięcie w kierunku naturalizmu — portret kapitana „Nelly" dla zwiększenia kontrastów jego psychiki jest miejscami zanadto przeładowany brutalnością.

Osadzenie akcji filmu w ramach dość „nietypowych" okoliczności daje nam poczucie niecodzienności zjawiska takiego, jak „Nelly" i jej załoga. A tymczasem począwszy od kapitana, a skończywszy na tych z załogi, którzy chcą wydać Żydów w ręce władz niemieckich — jest to zestawienie postaci, których sposób reagowania na sprawy jeszcze przed oficjalnym wybuchem wojny — jest właśnie bardzo typowy. Podobna linia frontu przebiegała nie tylko na jakimś zagubionym na Atlantyku handlarskim statku — ale szła przez każdą niemal kamienicę warszawską w dniach, kiedy między Lesznem a Żoliborzem płonęły domy i płonęli ludzie z opaskami na rękach, szła przez miasta zachodniej Europy, szła nawet przez baraki otoczone naelektryzowanym drutem i przez okopy, w których leżeli żołnierze w mundurach feldgrau.

„Pierwszy po Bogu" wskazuje na wciąż otwarte problemy wyciągania słusznych społecznie konsekwencji ze światopoglądu chrześcijańskiego, wskazuje — podkreślam raz jeszcze — mimo zamierzenia twórców, na groźbę maskowania tym światopoglądem egoistycznej postawy wobec życia. Jeżeli ktoś na tym ucierpiał — to przede wszystkim ucierpiała na tym sprawa chrześcijaństwa.

Można przypuszczać, że mająca nieco posmaku tragikomedii pogoń kapitana za afirmacją wiary zakończy się upragnionym finałem. — „...Słuchaj, stary, wyruszamy na poszukiwanie Boga? — Czy to bardzo pilna podróż?! — Żarty na bok, chodzi o życie tych ludzi...". Ten cytat z rozmowy pomiędzy kapitanem a jego zastępcą lepiej niż wszelkie omówienia oddaje ton, w jakim jest film utrzymany.

Nasycenie chrześcijańskiej etyki treścią społeczną, widzenie w światopoglądzie religijnym nakazu wychodzenia naprzeciw nowym problemom współczesności pozwala przypuszczać, że coraz mniej będzie ludzi pozostawionych samym sobie, ludzi, których dochodzenie do Boga wiedzie przez tak tragiczne doświadczenia.

Andrzej Szomański

---

czyński umie trafnie i dokładnie notować słowa i czyny spotykanych osób. Jeżeli chce kogoś scharakteryzować dokładniej, to zapisuje zdania i opinie o nim wygłaszane przez jego otoczenie. Znów ścisły i konsekwentny autentyzm: ograniczenie się do obserwacji od zewnątrz, rezygnacja z wszelkiej interpretacji. Rezultat? Galeria świetnie skreślonych sylwetek ludzi gotowych, określonych raz na zawsze przez charakterystyczny, im tylko właściwy sposób działania i myślenia. „Oni już tacy są" — jak to się popularnie mawia. Słowem, przy pozorach żywości, dynamiki, przy obfitości zdarzeń zewnętrznych — statyka psychologiczna.

Tu nasuwa się jednak nowe pytanie: o ile Strączyński jest świadomie i celowo tworzoną kreacją artystyczną? Autor wyposażył go we własny talent obserwacyjny, obdarzył umiejętnością dokonywania wyboru wśród olbrzymiej masy zaobserwowanych zdarzeń, nauczył pisać swoim wyrobionym, precyzyjnym stylem. Byłżeby więc Strączyński tylko literackim alter ego autora? W takim razie „Polska jesień" musiałaby zostać odczytana jako świetny literacko reportaż opowiadający „jak to naprawdę było". I tu zaczynają się moje wątpliwości. Bo skoro alter ego, to z jakiego powodu poskąpił autor Pawłowi daru interpretacji, zdolności oceny, zrobił go tylko utalentowanym reportażystą i protokolantem militarnej klęski? Wyłącznie militarnej, gdyż w Pawle nie następują żadne przeobrażenia intelektualne, nie próbuje on podjąć jakiegoś generalnego przewartościowania wartości.

Tu jednak Szczepański może ująć się za swoim bohaterem i powiedzieć, że przeżyty wstrząs był zbyt silny i nagły, aby jego następstwa mogły ujawnić się z dnia na dzień. Paweł jest bezpośrednio po zakończeniu kampanii wrześniowej jeszcze niezdolny do przeprowadzenia ogólnego bilansu wydarzeń historycznych, wyciągnięcia zeń wniosków o ważności praktycznej. Dobrze, ale w takim razie czekamy na drugą książkę, na „Polską zimę", zimę okupacyjną, pod śniegami której kiełkować i rozwijać się będą nowe myśli i uczucia Pawła, podczas której — czy to w pracy konspiracyjnej, czy też w ogniu walk partyzanckich, czy w jakichkolwiek innych warunkach zewnętrznych — dojrzewać będzie w mężczyznę obiecujący młodzieniec, podchorąży Strączyński.

A gdyby Szczepański odpowiedział: „O, przepraszam bardzo, ale nie pozwolę sobie narzucić programu swojej działalności literackiej! w „Polskiej jesieni" dałem wam fakty, dużo autentycznych faktów, które starałem się przedstawić artystycznie najlepiej, jak umiem. Ja jestem właśnie taki spec od faktów, od zbierania materiałów — i na tym poprzestaję. Interpretacje to już wasza rzecz, panowie krytycy"! I w takim wypadku uważałbym „Polską jesień" za rzecz wybitną, a Pawła Strączyńskiego za figurę bardzo interesującą, za typowego reprezentanta swego pokolenia, pokolenia, które ostateczną swą klęskę miało przeżyć dopiero w pięć lat później, w sierpniu i wrześniu 1944 roku.

Kim jest bowiem Paweł Strączyński? Kiedy rozstajemy się z nim, czyta on w gronie robotników obwieszczenie generała Brauchitscha „do ludności zabranych obszarów b. Państwa Polskiego" Wśród tych robotników poczuł się on we wspólnocie narodu pobitego na pole walki, ale przecież nie pokonanego. „Już kiedyś doświadczyłem takiego uczucia wspólnoty, szerzącego się przez milczenie, przez blask oczu, przez bliskość nieruchomych ciał. Przypomniała mi się izba podoficerskiego kasyna w Bielsku, w dniu wybuchu wojny. Tylko, że teraz wszystko to było cięższe, trudniejsze, jakby szersze zarazem. Odwaga i braterstwo bez podniecających powabów chwały — jak brzemię do podjęcia, jak los".

I oto przed afiszem rozlepionym przez niemieckiego okupanta stoi przyszły szeregowiec AK, przyszły żołnierz powstania warszawskiego. Stoi ktoś, dla kogo wrzesień 1939 roku był potwornym wstrząsem *nerwowym*, ale nie stał się wstrząsem *intelektualnym*. Stoi ktoś, kto wie tylko, że „trzeba dochować wierności" i „trzeba walczyć". Jakiej wierności? Komu? Walczyć o co? O Polskę? Ale o jaką? „Najpierw niech będzie Polska, szczegóły ustali się później". Kto je będzie ustalał później? „My, naród, Polacy". Nie, panie Strączyński, nie wy, nie naród. Taki „szczegół" jak powstanie warszawskie ustalała grupka zgranych polityków i były zwycięzca konkursów hipicznych. Taki „szczegół" jak antyludowa polityka PSL ustalały sanacyjne niedobitki na spółkę z „mężem stanu" — Mikołajczykiem.

Gdzieś w powieści mówi się o runięciu fasady państwa polskiego i Strączyński te słowa przyjmuje bez oporu. Ale z tragicznego września widzi on także tylko fasadę: tylko klęskę militarną. I dlatego jest on bardzo typowy, typowy jako reprezentant tej młodzieży inteligenckiej, która miała się stać trzonem podporządkowanej dyrektywom Londynu konspiracji. To, co z września 1939 roku pokazał Szczepański, jest zarazem rodowodem AK, genezą powstania warszawskiego.

Proponowałem Szczepańskiemu, aby podjął wątek dalszych losów Pawła, wątek dramatu zabłąkanej rozpaczliwie młodzieży inteligenckiej. Może mu ta propozycja przypadnie do gustu, a może nie. W każdym razie gdyby Szczepański nie dał się skusić do opracowania tego tematu, coś niecoś o Pawle możemy się dowiedzieć od innego autora. Jeżeli nie o samym Pawle, to o środowisku, w którym będzie się obracał w latach okupacji, o atmosferze, w jakiej będzie żył podówczas. Otwórzcie „Złotego lisa" Andrzejewskiego i przeczytajcie sobie „Kukułkę" i „Przebudzenie lwa".

Stefan Lichański

Dzieci żydowskie na statku „Nelly" (scena z filmu „Pierwszy po Bogu")

TOMASZ ŁUBIEŃSKI

Z Tatr

I.

Pióro skrzypi jak szreń pod butami
W tamten dzień, w kręgu lampy tak bliski,
Śnieg kołował winem nad nami,
Odartymi od drzewa gwiazd liśćmi,
W noc wpijały się raki gwiazd,
Księżyc błyskał stalowym czekanem,
Mrok jak liną posplatał nas
Przed schroniskiem w zimowy poranek.
Szliśmy równo jak dobre maszyny,
Naoliwił nas cukier i sen
Uciekały w tył śladów szyny,
Tor, po którym doganiał dzień

II.

Porozprężały grzbiety
Góry. — Zlewnęły mgłą.
Słońce ukryte nie grzeje
Pod białą skórą dnia.
Potyka się świt odkrywając
I w oczy strzeliście wwierca
Goniąc za nimi wysoko
Zadyszały, rozgrzały się serca.

III.

Wbijanych haków głuche echo
Wibruje liną rozwahaną,
Jękliwy, śpieszny rytm oddechu
Na czole potu drży kroplami.
I palce węszą chwyty śliskie
w śnieg się wessały suche usta —
Twarz w twarz ze ścianą wrogo bliską,
Twarz w twarz z ogromną górską pustką.

IV.

Strząsam z mięśni zmęczenia okiść,
Cisza, bezruch zachwiane upadły,
Wiatr się śmiechem obłoków zanosi,
Staw rozcina skały tors smagły.
Jeszcze słyszę syczący kamień,
Jeszcze raz zwarłem się i zamknąłem,
By rozprysnąć się niespodziewanie
W karuzelę szczytów dokoła
Słońce na czarnobiałych klawiszach
Gra i sypie złocistym piaskiem,
Grzmotem lawin do drzemki kołysze
Wierch ziskrzony perlistym blaskiem,
Góry pchają się jedne przez drugie
Horyzontów kołami wysokich,
Chciałbym naraz wirującą smugą
Wszystkie objąć ogarnąć wzrokiem.

V.

I obraz coraz dalszy, szerszy,
Zgrzyt kół przecina po asfalcie,
Przekreśla biała okna rama...
Na próżno szorstkość łowią palce
Po kartce błądząc; śladem wierszy
Nadchodzi księżyc, krąży noc wezbrana.

IV.

Niezwietrzałą radość mam w sercu —
Taką radość, że turnie przerasta
Niosę ją jak herbatę w manierce
Po upalnych ulicach miasta.

WŁADYSŁAWA SZKARADEK-LUBASIOWA

Niech będą pozdrowione

Niech będą pozdrowione wszystkie drogi, każda ścieżka,
które do Ciebie wiodą pomimo przeszkód.

Niech będzie pozdrowiona wszelka zieloność, najlichsze źdźbło trawy,
one od tęsknoty mnie wybawią.

I szum lasu, i cień dębu ruchomy
przybliżają wieczność, którą w sobie buduję — jak dom.

Grudko gliny — ziemio kochana i ciebie nie lekceważę!
Bądź przyjaciółką memu sercu, kiedy będziecie już razem.

Salamandra

Salamandrę, co słońce piła
zamknęłam w dłoniach, jak w klatce.
Zadyszanym strachem — bezsilna —
łomotała w moje chłodne palce.

W stukocie jej serca dojrzałam
mojej własnej ucieczki chęć —
ja też byłam przerażona i mała,
gdy wymykałam się śmierci.

Idę polem

Idę polem, miedzą — na przełaj.
Ziemia śpiewa i ja ziemi śpiewam —
a po zboczach jak na dno kielicha
płyną barwy i dźwięków pogłosy.

Dzwonią pszczoły, trzmiel nad ostem bzyka,
a na dłoni motyl jak żagiel —
to ja płynę na przekór losom
w odzyskaną radość.

Łąko moja, miodna, szeroka.
Lasy w niebo. — Góry w obłoki. —
W oczach miłość najgłębsza...
Jak daleka jest droga do bliskiego szczęścia.

Mgła

Wczoraj jeszcze było zielono lecz zsrebrzyścił
szron nad ranem wiśniowe sady —
I umarły cichutko liście,
jak niedoczekana radość.

Szeleszczące osypiska w alejach.
Słońce — odlatujący ptak.
Pomiędzy mną, a tobą, tężeje —
mgła.

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

REPORTAŻ

WIĘC nam pani jakoś pomoże, no nie? Bo kto inny nam pomoże, jak nie pani?

— Ale co ja takiego mogę?

— No chociażby te stołki, łyżeczki i w ogóle, jak to wszystko urządzić.

— Są w całym domu tylko cztery krzesła i ten fotel, a jeśli już chodzi o łyżeczki, to chyba te srebrne.

— No właśnie — bo pani jest taka srebrna i złota i pani warta wszystkie pieniądze — my do pani zawsze jak w dym, bo kto nam zawsze we wojnę pomagał i kto jest w całym domu najstarszy i w ogóle. — Przecież pani — no nie? A na wesele to się zwali pół Huty. — Genia - tramwajarka przyjdzie z całą familią, a Kondzielski to chyba brygadę junaków sprowadzi. Dobrze że Heniuś naszykował tyle wódki.

Ale tutaj siwa pani unosi siwe brwi bardzo wysoko z wyrazem dezaprobaty i stanowczo zaciska na sobie czarny szal. Czesia jednakże terkoce bez odpoczynku jak nakręcona, kryguje się w ciasnym przedpokoju i porusza wszystkim, czym może — pyzatą twarzą, gadatliwymi ustami, kartofelkowatym nosem, amerykańskim ciuchem w straszne słoneczniki, którym jest obleczona. Tak zaludnia przestrzeń, jakby nie jedna, ale siedem Cześ namnożyło się w przedpokoju.

— Pozwoli mi pani tutaj się ubrać? No nie? Bo u nas nie ma takiego dużego lustra, a ja na górę nie będę chodziła. Jużbym wolała złamać nogę. Moja mamusia do nich chodzi, owszem, proszę panią — bo z mojej mamusi taka cholera bez ambicji, że ja wprost kiedy oszaleję — ale mnie tam nie uświadczą, o nie!

I Czesia bynajmniej nie zważając na słowa pełne rozsądnej perswazji i szlachetnego wyrzutu, kierowane oto ku niej, że przecież nie ma co tak się boczyć na tych z góry, że przecież lepsza zgoda — po prostu wkracza do pokoju krokiem generała, gdy wyzwala kraj od wroga i staje przed ściennym lustrem i od pantofli — trumniaków po chustkę kongresową z czerwonym napisem Jelenia Góra nad uchem, Czesia ogląda się calutka z niekłamanym zachwytem — z ukontentowaniem, z optymizmem.

Ale oto dzwonek znów się rozdzwania w przedpokoju i z rumorem wjeżdża na scenę mamusia Czesi. Taka sama jak córka, tylko powiększona i pogrubiona, z kogutem — nieboszczykiem pod pachą.

Gdzież to się moja panienka podziewa, dudni jeszcze w drzwiach. No niech pani sama powie — taki dzień w jej życiu — a ona proszę — nic — jak to jagniątko, ino skaka. Młode to i delikatniutkie. Żeby pani wiedziała, co ja z nią mam — i zaczyna wygłaszać coś, co jest równocześnie jakby pośpieszną epopeą, mową tronową i pieśnią miłosną.

Bo i nie łatwo przyszło wychować Czesię — takie czasy były diabelskie, taka wojna. Komu Czesia zawdzięcza, że teraz taka zdrowa, taka powabna, i że ma fach w ręku, sama na chleb swój zarobi, na chłopa nie będąc zmuszona się oglądać, że taką szkołę felczerską skończyła z odznaczeniem, nawet o mało co nie trafiła na medycynę — bo doktor Kościuszkowa ją popierała, a właśnie. Ojcu — matce to wszystko zawdzięcza.

Siwa pani zanosi w tym miejscu w myślach strzelistą prośbę do niebios o łaskę cierpliwości, bo już widzi, że to potrwa.

— We wojnę, proszę pani, to my z niebezpieczeństwem życia jeździli do Bochni czy do Niedźwiedzic, żeby trochę tego towaru przycharapczyć, żeby pokombinować — wszystko dla dzieci. — A Zbysiunia, to mi ubili, nie uchowali my go, nie. Do organizacji wstąpił i ubili go cholerniki, nawet człowiek nie wie gdzie — taka wojna była na świecie.

Po dużej twarzy lecą raptem małe krople — lecą spadając na fartuch i na wielgachne ręce, które gmerają bezradnie w kieszeni fartucha w daremnych poszukiwaniach za chustką. Wobec tego siwa pani bierze płaczącą za te jej obie ręce i uspokaja, i przypomina, że przecież jest córka, że właśnie dzisiaj jej ślub, a zięć zastąpi syna.

Tymczasem Czesia utwierdzona w przekonaniu o radości życia już jest przy matce — i obie tak stoją podobne do siebie jak dwie krople wody — roztrajkotane, witające się i gorące, jakby siedziały w samym piecu życia.

Rozmowa schodzi na tych „z góry" i zaraz robi się weselej.

— Bo moja Czesia nie to, co ci z góry — weźmy taką Bronię, nogą nie ruszy, strasznie ważna, bo do szkoły plastycznej chodzi, nawet nie powie człowiekowi „dzień dobry". A z Józka to już nic, propało. Najgorszy bikiniarz. A Zochna, po dwóch latach małżeństwo się rozleciało, ona na lewo, Włoduś na prawo. Tylko dziecko babce na głowie zostawili.

Tutaj Czesia wtyka swoje grosze:

— A ta Lodka z tego domu od Millerów, tak się z żołnierzami zadawała, aż się dorobiła dzieciaka, w ogóle numer — rodziców jej Niemcy wywieźli, sama była, moralności w sobie żadnej nie miała i takie skutki.

Ale na schodach szurają jakieś liczne nożyska i dzwonek w mieszkaniu naprzeciwko piskliwie zawodzi. To do nas — woła Czesia jak z trybuny, to od Gieni — i siwa pani oddycha z ulgą w przeczuciu

wyzwolenia. Bo Czesia musi jeszcze do pacjentów z zastrzykami — ten na dole trzy ćwierci od śmierci — dostaje kamforę — a ci z góry, to nawet nosa tam nie wsadzą. Gdyby nie Czesia... Ale pani nam pomoże z tym weselem — prawda?

Kiedy się wypatoczyły obie — powietrze jeszcze dygotało od gadaniny jak rozhuśtana woda w stawie. Siwa pani przysiadła na chwilę na jakimś sprzęcie, żeby chwilę pomyśleć — ale dzwonek, jak złośliwy komar zajęczał nad nią ostro, aż się poderwała. To był jej syn, Bolesław. Wracał z biblioteki, rzucił beret i z miejsca wołał, że jest głodny.

— Będziemy dzisiaj mieli białą noc — powiedziała matka pochylając się nad szklankami. — Przecież tutaj przyjdzie mnóstwo tych ludzi z Nowej Huty z tymi ich manierami. Ach, ta młodzież obecnie — i dlaczego — oni nie potrafią się bawić spokojnie?

Ale syn nie słuchał tego, co mówiła, jadł szybko rosół i czytał gazetę: czytał o wizycie królowej belgijskiej, honorowego gościa Konkursu Szopenowskiego w naszym kraju, o nowych obiektach fabrycznych, które włączone będą w produkcję z dniem pierwszego maja — o tym, że w Nowej Hucie wykańcza się budowę placu Centralnego — czytał komunikaty o przygotowaniach do akcji zbierania podpisów pod apelem wiedeńskim — i felieton teatralny o Ruy Blasie, i recenzję z angielskiego filmu „Okrutne morze".

— Dlaczego oni tego wesela nie urządzą na przykład w domu narzeczonego. — Stara pani znowu uniosła po swojemu siwe brwi wysoko na czoło. — Zawsze w tym domu musi być niepokój i harmider. Jedzenia mają ogromne ilości, alkoholu, niestety też — ale jak oni się wszyscy pomieszczą w tym małym mieszkaniu. Syn podniósł głowę znad gazety i powiedział, że przecież tradycja i — tamto ich mieszkanie w Hucie jeszcze surowe, mebli jeszcze nie ustawili, choć podobno kupione — trzeba być wyrozumiałym.

— A czy ja jestem taka niewyrozumiała? — Obruszyła się siwa pani, aż jej włosy zjechały na czoło.

— Ale wciąż masz jakieś pretensje do nich — ja wiem, tak dla zwyczaju — i pocałował matkę w te rozsypane włosy. — Przecież i tak nie mogłabyś żyć bez ich życia, wciąż jesteś ludziom potrzebna.

I teraz zobaczył, że matka jest zgaszona, że musiała ostatnio wiele się martwić i kłopotać — przygarnął ją do siebie i chciał powiedzieć jej coś dobrego — że jego sprawy się dobrze ułożą, że na pewno będzie miał wiadomość z redakcji — ale znowu dzwonek w przedpokoju uderzył jak na trwogę. Zebrał więc gazetę, szklankę z herbatą i ze słowami: — co za dom! wyniósł się do pokoju. Ale i tu słyszał z natrętną wyrazistością jakieś szamotanie się w drzwiach i powitania. To był głos Broni, powolny i jakby zastrachany ale wyraźny, Bolesław wykrzywił się z nieukontentowania, bo chcąc nie chcąc musiał wysłuchiwać cudzych historii. Bronia chciała tylko zostawić klucze, gdyby kto nadszedł, bo idzie do Millerów — bo tam zostawiła małego i musi teraz odebrać. Proszę pani — zaczęła nagle Bronia, jakby się decydując na ostateczność — proszę pani, czego oni właściwie wciąż od nas chcą, oni nam wciąż czegoś zazdroszczą. — Czesia nie może mi darować tej wyższej szkoły plastycznej, a Józkowi tego filmu — a ostatecznie im się tak dobrze powodzi — ona kupiła sobie ostatnio tapczan luksusowy i płaszcz z flauszu — ile to musiało kosztować — i to wesele dzisiaj, i ostatecznie wszyscy są dla nich uprzejmi, a oni zawsze czegoś niezadowoleni. Więc siwa pani uważa za potrzebne uderzyć w pełen rzeczywistości ton rozsądku i — moja Broniu zaczyna z przejęciem — to są drobnostki, i tak w końcu lubicie się bardzo — znacie się od dzieci i już tak musi być między ludźmi, że — i tutaj zmienia temat, pyta czy na przykład nie mają wiadomości od Zosi — ale na to głos Broni staje się jakby jeszcze bardziej zastrachany — nie, nie mieli — tylko przysyła pieniądze na dziecko — dalej pracuje na Śląsku w przemyśle — podobno ma świetnie i nie ma mowy, żeby wróciła, odkąd się związała z tamtym człowiekiem, z tamtym człowiekiem — powtarza już całkiem żałośnie i milknie. — Więc pani pyta z kolei o Józka, ale i ten temat nie jest łatwiejszy. Odkąd Józek grał epizodyczną rolę w filmie „Godziny Nadziei", całkiem się zmienił. Na gorsze. Chodzi po lokalach, choć taki przecież jeszcze młody. W ogóle rozpacz. A ostatecznie, proszę pani, my nie mamy ojca i z Zosią taka przykrość. Mama to się chyba nam już całkiem rozchoruje. — Więc siwa pani uderza w strunę ufności. — Bronia przesadza, widząc tak wszystko w ciemnych kolorach. Da Bog, sprawy się ułożą, Zosia zmądrzeje i wróci do dziecka, do domu. — Józek wyrośnie z tych narowów. Najważniejsze, że jakoś żyjemy, że możecie się uczyć — że na świecie nie ma wojny.

Bolesław nie może tego dłużej słuchać. Otwiera radio. Warszawa pierwsza nadaje sprawozdanie z konkursu. Koncert E-moll. W pokoju zaczyna padać iskrzący się wiosenny deszcz — białe czereśnie rozkwitają nad modrymi wodami powodzi — wszystko mży i drga od deszczu. Ale przeklęty dzwonek wdziera się w tę wizję i niszczy nastrój. Tym razem to był gość do Bolesława. Bolesław zobaczył ze zdumieniem dawno nie widzianą postać w czarnej sutannie, w zaśnieżonej czapce, w futrzanym kubraku.

Ksiądz już stawiał na stole jakieś paczki, otrzepywał kapelusz.

— Pozwolisz, że u ciebie to wszystko zostawię i że przez chwilę odsapnę, wybaczysz, że tutaj a nie w przedpokoju, nie chciałbym się teraz z nikim spotkać.

Bolesław zaczął się krzątać jakoś niezgrabnie. Dawno się nie widzieli i w dodatku dotąd nie mógł oswoić się z tą sutanną kolegi — z jego trochę niezrozumiałą, jakby onieśmielającą funkcją.

— Że też ty jesteś księdzem, Jerzy — a przecież w szkole nigdy nie byłeś mocny w łacinie — powiedział jeszcze Bolesław, jakby to miało być jakimś argumentem.

Młody ksiądz ocierał twarz wielką chustką, zasiadał godnie i szlachetnie na jedynym w pokoju fotelu — jakby był nie młodym chłopcem, tylko już wypraktykowanym dobrodziejem. Ale zaraz uśmiechnął się po szkolnemu, trochę łobuzersko — i potem smutno powiedział:

— Ojciec mi umiera, chciałbym teraz często być przy nim. Od nas tak daleko i czasu mam strasznie skąpo dla siebie.

Bolesław się stropił, wiedział, że ojciec Jerzego nie przepadał za dziećmi, trząsł się o majątek, zamieszkał w suterenie po to, żeby poodnajmować wszystkie mieszkania dla zysku. A teraz nie może przeżyć zmian w świecie i choruje ze zgryzoty. To wszystko było wiadome i o tym nie chcieli mówić. Ksiądz wyjął z paczki czarne modlitewniki i pokazywał przyjacielowi.

— Kupiłem dwadzieścia pięć książeczek — powiedział — moja parafia całkiem dzika. Sam nie wiem, jak się do wszystkiego brać, nie mam doświadczenia.

Zapadło krótkie milczenie. W ciszy szemrała tylko etiuda z aparatu jak strumień leśny. Ksiądz spojrzał na radio i powiedział poważnie: żeby tylko spokój był na świecie, żeby ludzie jeszcze trochę mogli żyć w spokoju. Bolesław chciał mu dużo powiedzieć. O sobie. Że go zastanawia sprawa czasu, który tak nielitościwie mija — o zdarzeniach w domu — zamiast tego zaproponował: może byś się napił herbaty? Zagrzejesz się. Ale ksiądz już wstawał. — Co z Lodzią, co wiesz o niej? — zapytał krótko Bolesław, naciągając kubrak. Bolesław niestety nic nie wiedział o losach nieszczęsnej i upadłej Leokadii. Chciał natomiast tyle jeszcze opowiedzieć Jerzemu i poradzić się w niejednym — Jerzy zawsze był najlepszym powiernikiem od najdawniejszych czasów — ale w przedpokoju jak na złość dzwonek znowu się urywał i oto do pokoju już wpadała zgraja wyrostków, jakichś krewniaków narzeczonego Czesi. Porywali krzesła, taszczyli radio.

Bolesław sprowadził przyjaciela po schodach na dół. Ojciec Jerze-

Rys. R. MADEYSKI

Z NASZEGO DOMU

go mieszkał na końcu korytarzyka. — Powiało zaduchem. W drzwiach natknęli się na Czesię. Jurek! zakrzyknęła i aż chciała klasnąć w ręce, ale nie mogła, bo trzymała w nich torbę felczerską i kawał waty jak garść śniegu. Pachniała wcale nie weselnie, raczej oddziałem dla zakaźnych.

— Obowiązek przede wszystkim — zatrąbiła bohatersko — twój ojciec ma się lepiej, jeszcze pociągnie. Dostał pięćdziesiąt zastrzyków z kamfory i nawet ma humor staruszek. Powiedział, że chce się napić ze mną na moim weselu. A ty też przyjdziesz, no nie? Myślałam sobie, że mi będziesz ślub dawał, jakeś już taki wielebny — pokłoniła się w pas i pacnęła księdza Jerzego watą po ramieniu — ale żeś się wyniósł na wiochę, do tej twojej parafii w Grajdołku... Ksiądz uśmiechnął się spokojnie i spokojnie przyglądał się tej dziewczynie, która była jeszcze niedawno dzieckiem. Potem ładnym ruchem podał jej wyjętą z kieszeni niewielką paczkę.

— Proszę, weź ode mnie na pamiątkę. To książka do nabożeństwa. Przyda wam się na tej nowej drodze.

Czesia postawiła torbę na ziemi, wzięła książkę i jakoś ostrożnie — przymilkła — ale już na górze zatupotały buciory i dwa głosy, żeński, cienki i męski gruby obwieściły jak przez megafon:

— Czesiu, Czesiu, gdzie ciebie znów nosi do jasnej atomówki — bo przyjechali od Heńka!

Więc Czesia porwała z powrotem torbę i cwałem na górę, aż schody stęknęły. Ksiądz na razie żegnał się z Bolesławem — zobaczą się wieczorem Jerzy podszedł do drzwi, za którymi leży stary, schorowany człowiek, leży i nie może przeboleć utraty majątku — leży i nienawidzi — ksiądz prostuje plecy, jakby niósł na nich ciężar, powoli otwiera drzwi.

A Bolesław taszczy rower spod schodów, może jeszcze zdąży na pocztę przed zamknięciem.

Ale ledwo się przyszykował do jazdy, ktoś go woła z balkonu po imieniu. Bronia wychylona głęboko macha do niego koszyczkiem:

— Bolek, poczekaj, schodzę do ciebie.

I już biegnie drobno jak ptaszek w jakichś trepkach na gołe nogi, choć przecież zimny marzec.

— Jurek przyjechał, jest u ojca, wiem. I na weselu pewnie zostanie. A ty? Czemu ty nie przychodzisz do nas grać? Dawniej, to przychodziłeś Mam nowe nuty — wiesz? „Marynike"!

Tak stali naprzeciw siebie w obramieniu żelaznej bramki jak tyle razy. Bronia - plastyczka i ten Bolesław przy rowerze, z ręką na kierownicy.

— Dlaczego nie przychodzisz grać? — pytała Bronia w kółko, jakoś niezręcznie — nie masz teraz czasu?

Tak, Bolesław nie ma czasu — pisze reportaże, jeździ do Warszawy. Bronia, jakby dopiero teraz zmarzła, podeszła do roweru, zadzwoniła bezmyślnie w dzwonek, błysnęły jej w oczach szkiełka łez.

— Ja już zupełnie nie mogę wytrzymać w tym domu. Wciąż ten dom i dom. Żeby mi się udało jakoś przenieść się do Warszawy — jak Zuza, też mogę pracować w wydawnictwie — a tutaj się można udusić. Stare ulice, stare kamienice, starzy ludzie i wiecznie te same narzekania. Ja już nie mogę.

Ale Bolesław ją mitygował. Dosyć przecież młodości naokoło — no chociażby w naszym domu — dzisiaj wieczorem zobaczysz, ile tego. I już jadąc na rowerze przekonywał Bronię w myśli, że nie ma racji. Obejrzał się, stała jeszcze przy bramce, oparta o nią odwiecznym gestem kobiet stojących przed domami.

Bolesław przecinał rowerem teren znany mu tak dobrze, jak własny stół do pracy. Ten sam horyzont — wieże i kominy, te same linie ulic — ale były i nowe ulice, dopiero betonowane, prężyły się jeszcze nagie, nie obrośnięte budowlami, przy jednej stał potwór — wielki walec do ubijania terenu, z chudą szyją komina. Będzie tutaj dużo nowych domów — pomyślało się mechanicznie Bolesławowi i nagle uderzyło go, że ta prosta na pozór rzecz jest trochę dziwna, gdy się nad nią zastanowić. Przecież miasta to przede wszystkim domy. Tak, fabryki i szkoły i sklepy — oczywiście, teatry i składy, ale przede wszystkim domy — domy, miejsca, gdzie się żyje, to znaczy, gdzie się śpi, gdzie się czyta gazetę i zjada rosół, gdzie się odbywają wesela, gdzie można chorować i gdzie czasem jest jakaś matka, która czeka, aż się wróci. Tak się myślało Bolesławowi po drodze na pocztę — i to jeszcze, że właśnie dom jest ważniejszy od fabryki i od składów, powiedzmy obuwia — bo przecież tamte instytucje i miejsca służą człowiekowi, który zawsze i wszędzie mieszka w jakimś domu, choćby to był hotel, internat czy plebania.

Ale oto już jest na okrągłym placu, który nazywa się Rondo. Pedałuje obok statuy hutnika ustawionej między dwoma wysokimi jesionami. I oto schodki i poczta w tym samym miejscu, co zawsze. Wszystko się zmienia, a ta mała poczta i ta pani w czarnym fartuchu za okienkiem są takie same. Czekając na swoją kolejkę rozgląda się po ścianach i widzi nowy afisz: na ciemnym tle fragment zburzonego domu, oczodoły okien dymią czerwono, na to kładzie się groźny cień bomby dziobem godzącej w dół — ostre płetwy zdają się rozdzierać powietrze. Na dole afisza krótki napis wielkimi literami: Nie!

— Dzień dobry, panie Boleczku! — Wiekuista pani z poczty wywiesiła się do połowy z okienka. Dla niej był dalej tym samym małym chłopcem sprzed iluś tam lat.

— I proszę ukłony dla mamusi — powiedziała jeszcze dziobiąc nosem pokwitowanie — pańska mamusia jest złota kobieta. Strasznie ją kocham. — A potem, kiedy już był na schodkach, wołała za nim wyściubiając głowę jak gołąb z klatki:

— U was dzisiaj wesele. Wiem. Panna Czesia idzie za mąż — jak ten czas leci.

Jak tu się wszyscy znają — myślał Bolesław wracając inną trochę dla urozmaicenia drogą, znowu koło posągu hutnika, potem obok domu, w którym mieszkał Lenin, obok kościoła Karmelitów. Jak tu się wszyscy znają — wystarczy pomieszać gdzieś przez parę lat — jak w jednym domu. I znowu mu przyszło do głowy, że na przykład podobnie jest z ojczyzną: są różne spory, wiele rzeczy ludzi różni i dzieli, ale łączy ich ten wspólny dom, który w końcu jest najważniejszy.

Bolek — Bolek — stop! Ktoś go wołał z przejeżdżającej taksówki. Ledwo poznał w mroku gramolącego się Józka. Ładny, szczupły z włosami na Fanfana Tulipana, w jakiejś futrzanej, jakby lotniczej z fasonu wiatrówce.

— Bolek — wołał — chyba się nie wybierasz na to wesele? Z chromolami będziesz się bawić? Ja idę wieczorem do dziennikarzy. Możemy iść razem, poznam cię z pięknymi kobietami, chcesz? Bolek? Będzie Danusia Kwapiszewska — jak ona tańczy! Klasa! Przecież nie ma sensu zadawać się z tymi z dołu!

Ale Bolek się spieszył do domu i odmachiwał się od Józka, że aż się rower zatoczył.

Oto już widzi dom. Taki dom nazywają tutaj willą. Ale to tylko tak, dla poezji, bo to jest zwykła kamienica, tyle że mała. Z gankiem od tyłu, z balkonem przy mieszkaniu Broni, z antenami radiowymi na dachu, z drzewami owocowymi rzędem, które z chudych drzewek zmieniły się w rozłożyste i sięgają balkonu.

Na schodach już wrzało. Jakieś typy chodziły, dzwoniły do mieszkań, znosiły stołki i paczki, pannice ufryzowane na straszydła powiewały żelazkami do prasowania. Panował tumult i „Marynika" rozsiewana przez donośny adapter.

— Mamo — zawołał Bolesław w przedpokoju — można od tego hałasu dostać zawału serca, ja w tych warunkach nic nie napiszę — nic!

Siwa pani pochylała się nad kuchennym stołem i uważnie wypisywała czekoladowym lukrem, kapanym słodko z łyżki, napis na śnieżnym torcie: „Szczęść Boże młodej parze". Przerwała na chwilę wyciąganie pachnących waniliowo liter i powiedziała zgaszonym od zmęczenia głosem:

— Był tu jakiś twój kolega z redakcji, zostawił kartkę.

I Bolesław już czytał świstek wydarty z kalendarzyka Orbisu: „Co z twoim reportażem? — przyślij najszybciej — czekamy". Więc myślą o mnie — więc czekają — rozanielił się Bolesław i liznął matce z łyżki czekoladowego lukru. Tylko ja w ogóle nie zacząłem jeszcze tego reportażu. Jeszcze raz pisać o hodowli jedwabników, po co? Kogo naprawdę wzruszają dzisiaj jedwabniki? Przecież teraz nosi się wszystko z nylonu.

— Za moich czasów — przecięła mu znowu matka — jedwab to był jedwab — szczególnie francuski i sukni z pięknego jedwabiu nie zapominało się tak prędko. Ale dlaczego nie możesz napisać na przykład o naszym domu? Dom jest czymś pouczającym, i warto się nad nim zastanawiać, właśnie teraz, kiedy się tyle buduje, a nie zawsze szczęśliwie i nie zawsze z głową — pewnie dlatego, że nie umiemy korzystać z doświadczeń, za mało obserwujemy, jak to się żyje w już gotowych domach.

Tutaj Bolek nie wytrzymał. Roześmiał się serdecznie i pocałował matkę w rękę.

— Mówisz jak przewodnicząca zebrania dzielnicowego, zorganizowanego celem podniesienia poziomu architektury, czy coś w tym rodzaju. Święta racja — obywatelko. Tylko co o naszym domu można napisać. Same mało interesujące rzeczy. Te same do znudzenia problemy, pospolici ludzie, wszystko sto razy opisane.

Siwa pani spojrzała na syna surowo i z rozwagą zapaliła papierosa. Co też ty wygadujesz! Dziwiła się po swojemu, strząsając popiół ostrożnie do pustego pudełka od zapałek — ludzie nieciekawi — problemy nieinteresujące — każdy człowiek jest ciekawy i jedyny — ze swoim losem, ze swoim miejscem pośród innych ludzi — ze swoją duszą, która jest przecież Boża.

Ale dzwonek w przedpokoju przerwał jej w pół słowa wołając elektrycznym jazgotem, że nie czas na jałowe dyskusje, kiedy życie u progu!

I oto w drzwiach jawi się Czesia w sukni, że oko bieleje, z ogonem — z cud buciczkami zatkniętymi na rękach jak rękawiczki, a za nią już się gramoli wysztafirowana dziewica, z welonem jak prześcieradło pod pachą, a w głębi moc twarzy różnego autoramentu i płci. Wszystko to wtrąża się do pokoju — prosto w kierunku lustra, które dopiero teraz poczuło, że żyje. I kiedy tak przymierzano pannie młodej welon, nakładano buciki, poczesywano, tarmoszono, przepędzano oblubieńca do kuchni, wydawano ochy i jojczono na krawcową, i w ogóle — dopiero wtedy odczuć można było, że to wesele. Zwłaszcza gdy pojawił się elegancki Józek. Odgrażał się, odżegnywał — a proszę — jakoś przyszedł do „tych z dołu". Był zresztą już na niezłych alkoholowych obrotach, z narychtowaną buteleczyną w jednej, z tacką pełną grubych kieliszków w drugiej garści.

Na próżno siwa pani uniosiła brwi wysoko na czoło wzdragając się i odżegnując. Józek nie ustępował. Musi pani się ze mną napić! Za tę kulturę narodową — za Konkurs Szopenowski — za energię atomową zastosowaną do pokojowych celów. Albo jest dziesięciolecie — albo nie! Ale Czesia zgromiła go z miejsca.

Nie wygłupiaj się Józek — tyś tam już najwięcej do dziesięciolecia się przyczynił, byłeś tylko ciężarem dla społeczeństwa — i huknęła zdrowo nogą, bo pantofel nie chciał wieźć na piętę.

Bronia też podeszła z kieliszkiem do Bolka. Ładnie wyglądała w niebieskiej sukience, z dużymi, też niebieskimi koralami na szyi. Nie od parady była utalentowaną plastyczką. Czesia wszystko widziała w lustrze i nie mogła ustać spokojnie. Prędzej, prędzej, poganiała druhny, bo tam taksówki już beczą i jak ten welon na mnie leży, jak na świni. I gdzie jest moja mamusia — moja mamusia do najjaśniejszej cholery!

Na końcu przyszedł ksiądz. Przyprowadził piegowatą Lodzię z synkiem. Stała przy bramie i nie śmiała wejść. Jakże — wołał ksiądz — przecieżeśmy się wszyscy razem chowali, w złym i dobrym. Lodzia patrzała na Czesię, białą, uwelonowaną i ukwieconą z niekłamanym zachwytem. Wszyscy się śmieli. Dobrze jest, wołał Józek, pani się z nami napije, pani zawsze była dla nas jak dobra ciocia.

Więc siwa pani już nie mogła się dłużej opierać. Poszukała wzrokiem syna, ale wymknął się gdzieś z księdzem Jerzym. Popatrzyła na matkę Czesi, ale ta buczała żałośliwie, rozmazywała łzy na twarzy, bo serce miała zawsze miękkie i teraz wspominała Zbysia, który był taki mądry i taki ciekaw życia, i tak go wojna zabrała. Pocieszano ją i otaczano. Przed domem trąbiły taksówki, adapter zza ściany niezmordowanie wysyłał w przestrzeń „Paryskiego Gawrosza".

Siwa pani popatrzyła na zebranych, na młodych i na dzieci, dotknęła pereł w uszach połyskliwających jak łzy. W dawnych czasach dostała je matka jej męża od austriackiej cesarzowej — popatrzyła przez okna na ciemną noc, w której świeciły okna innych domów, zobaczyła jakiś daleki czas, który minął. Czy go żałowała? Nie, nie żałowała, że minął i podniosła do góry mały kieliszek tak powoli i tak uroczyście, jakby to był puchar starego wina.

Mikołaj Bieszczadowski

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Szczęśliwa miłość do wiejskiego tematu

„Wiejski temat" jest jednym z tych kamieni, o które się — aż nazbyt często — potykała nasza literatura i krytyka w ciągu swej dziesięcioletniej drogi. Przyczyna tych potknięć leżała w trudności dokonania wyboru między zobrazowaniem przemian współczesnej wsi polskiej, tego „nowego", które się w niej stało, przy pomocy łatwych do uchwycenia, a zawsze atrakcyjnych realiów — a poświadczeniem wizją artystyczną przełomu świadomości ludzkiej, zmiany stosunku chłopa do wsi i... tego, co jest poza wsią. Czas naglił, a łatwiejsza i szybsza droga do „wiejskiego tematu" — tak się przynajmniej zdawało — wiodła poprzez zbeletryzowany reportaż, którego poszczególnym faktom i postaciom nie szczędzono nawet — niby antyschematycznej odtrutki — naturalistycznych rumieńców.

Kiedy po przeczytaniu „Dziadowskiej miłości" Marii Jarochowskiej*) sięgamy dla przypomnienia i porównania wrażeń do wcześniejszych jej książek, zwłaszcza do reportaży i „Buraczanych liści" — uderza jedno: pisarka przeszła przez prawie wszystkie te niebezpieczeństwa „wiejskiego tematu", przegrała nawet dzięki nim kilka książek po to, aby na ich gruzach, więcej: częściowo nawet z ich elementów zbudować utwór wart lektury, wart dyskusji, wart wreszcie wędrówki na wieś celem porównania własnych wrażeń i spotkań z wizją artystyczną Jarochowskiej. Wszystkie przemiany społeczne i gospodarcze nie mają wartości, jeśli nie zaznaczą się we wnętrzu człowieka, w jego poznaniu, miłości — i nienawiści — oto prawda z gatunków oklepanych, którą jednak Jarochowska potrafi zainteresować i pociągnąć.

Konstrukcja nowej powieści Jarochowskiej jest w zasadzie bardzo prosta, w wykonaniu kunsztownie skomplikowana. Węzłem, w jakim zbiegają się wszystkie nitki wątków powieściowych, jest spółdzielnia produkcyjna, założona, ale jeszcze nieokrzepła, serdecznie miła dla jednych, nienawistnie wroga dla drugich — ale jeszcze nie będąca (dopiero stająca się) własnością ich życia, może nawet kwestią życia lub śmierci... Ale już na kartkach wielkiej ekspozycji problemu — jaką w istocie jest „Dziadowska miłość" — gospodarka zespołowa nie jest dla tych ludzi tylko zagadnieniem ekonomiki rolnej, jej pojawienie się na wiejskiej widowni to zarazem moment zwrotny w życiu każdego z bohaterów książki, nawet niedawno narodzonego Cecyliana Buraka — ukazuje i wyznacza prawdę, sens, wartość tego życia. Na istnienie spółdzielni produkcyjnej w Osieczanach składają się nie tylko grunta, bydło, a nawet praca chłopska — składa się również pragnienie i tęsknota jednych, śmierć nadziei drugich, składa się wszystko, co mogą oni z siebie dać najlepszego lub najgorszego. Jarochowska wszystkie problemy spółdzielczości produkcyjnej, wszystkie zagadnienia przeszłości i przyszłości naszej wsi sprowadza do człowieka — i w tym leży jej najcenniejsze pisarskie zwycięstwo.

Akcja utworu jest szczupła — jak przystało na powieść-ekspozycję eposu. Składają się na nią cztery biografie, cztery życia członków osieczańskiej spółdzielni i... chrzciny — pierwsza większa uroczystość i święto w tej spółdzielni, jak gdyby wprowadzenie do niej najmłodszego członka. Mały Cecylian Burak odgrywa w powieści rolę „wielkiej niewiadomej", o której szczęściu lub nieszczęściu zadecydują także, może nawet przede wszystkim Weronika Włoszakowska, Zygmunt Florek, Józefa Terlakowska i Franciszek Mrówczak. Ludzi tych dobrała Jarochowska jako swego rodzaju typy: typy tych, którzy się zbliżają lub oddalają od spółdzielni, ale, którzy się z nią jeszcze nie zżyli — albo nie zerwali. Otóż to: wielkim, pisarskim zwycięstwem Jarochowskiej jest powstrzymanie się od ostatecznej decyzji o losie i charakterze swoich głównych bohaterów, o ich „białości" i „czarności". Niewątpliwie, bliższy sercu czytelnika jest już teraz idący prostą, chłopską drogą Zygmunt Florek niż wędrujący krętą, dworską ścieżką Franciszek Mrówczak — ale ostateczna meta ich wędrówki jest na dobrą sprawę jeszcze zakryta przed naszymi oczyma. Na razie te cztery życia w powiązaniu z licznymi biografiami dalszoplanowych bohaterów świadczą o jednym: nie zawsze łatwo, nie zawsze lekko jest chłopu przyjąć do swojego serca i zaprosić do swojego domu „nowe".

Kiedy prozaik bierze się za jakiś centralny problem swoich czasów — chwyta się również za najbardziej odpowiadający temu celowi rodzaj literacki: epos. O cechach epickich „Dziadowskiej miłości" Jarochowskiej pisano już w krytyce dużo i nie chciałbym tu tego powtarzać. Intryguje mnie natomiast inna sprawa: „Dziadowska miłość" jako pierwszy człon cyklu, jako — zachowując wszelkie proporcje na korzyść Jarochowskiej — wariant „Mystkowic" Gałaja. To nie jest tylko problem warsztatu literackiego, podobnie jak nie jest nim (o czym za chwilę) język utworu. Cechą ekspozycji — tak w literaturze, jak i w muzyce — jest prezentacja głównych motywów i wątków, w eposie głównych bohaterów i problemów. Jeśli założymy, że „Dziadowska miłość" jest taką właśnie ekspozycją wiejskiego eposu — złagodzi to, może nawet unicestwi wiele zarzutów, które można najnowszej powieści Jarochowskiej postawić. Jak by nie było, bardzo mgławicowy w tym utworze jest wróg klasowy, nieodzowny człon konfliktów społecznych dzielących się wśród mieszkańców Osieczan. Jarochowska bardzo przekonująco rysuje tego wroga w przeszłości przedwojennej i — dużo słabiej, niestety — okupacyjnej. Z chwilą odzyskania wolności dwór ziemiański przestaje istnieć żyjąc jedynie odruchami w świadomości dawnej służby. Czy Jarochowska potrafi przejść od ekspozycji problemu i eposu do jego właściwego rozwinięcia? Czy potrafi iść razem z bohaterami, a nie tylko patrzeć na ich przeszłą, przebytą drogę? Sedno sprawy tkwi w tym, że talent prozatorski Jarochowskiej rozwija się niejako poprzez lepsze, bardziej doskonałe i ekonomiczne wyzyskanie tkwiących w nim możliwości, a nie poprzez rozszerzanie terenu — i broni swoich pisarskich operacji. W porównaniu do poprzednich utworów Jarochowska zatem wyeliminowała wtręty publicystyczne, skutecznie i przekonująco skumulowała akcję — słowem: raz jeszcze przetopiła i oczyściła swą materię epicką, ale nie uszlachetniła jej dodatkiem nowych, nie używanych dotąd kruszców. Zresztą i to obliczenie się z błędami przeszłości nie jest znowu takie zupełne.

Tutaj właśnie czas wyciągnąć sprawę języka. Wiadomo — co podkreślała nieraz ostro krytyka — że w powieściach Jarochowskiej (szczególnie w „Niemiłosiernych") straszył dawniej często naturalizm, czasem nawet we freudowskim przegięciu. W wizji artystycznej pozbyła się obecnie Jarochowska naturalistycznych ciągotek zupełnie (myślę nawet, że miałby jej co nieco do zarzucenia w swej akcji „upupiania" Putrament), nie oczyściła jednak od niej języka. Język w powieści wiejskiej nie jest sprawą błahą, wchodzą tu przecież w grę bardzo subtelne i skomplikowane sprawy w rodzaju np. włączenia do utworu gwary w jej złagodzonym, zrozumiałym dla przeciętnego czytelnika wariancie. Jarochowska to rozumie i widać, że nad językiem „Dziadowskiej miłości" pracowała — ale ten język jest — mimo wszelkich zindywidualizowań w ustach poszczególnych postaci — dla mnie zbyt dostojny, zbyt wiele mający wspólnego ze świątecznym gadaniem chłopskim, zbyt mało — z ich codziennym życiem. Fraza zdaniowa Jarochowskiej jest zwykle długookresowa, cycerońska, niezależnie od okoliczności i osoby wypowiadającej ją. Urozmaicenia następują jedynie w słownictwie i właśnie na jego płaszczyźnie — jak mi się zdaje — Jarochowska wetuje sobie powściągliwość w soczystości realiów wizji artystycznej. Jest zatem między językiem postaci a rzeczywistością, w jakiej nam je Jarochowska pokazuje, pewna dysproporcja, niedostatecznie uargumentowana. Myślę, że lekarstwem na nie jest jednak — nie tylko zresztą dla Jarochowskiej — w pewnym sensie powrót do gwary, sensowne, ale nie trącące egzotyką, podmalowanie dialektowe języka postaci.

Gdyby metaforycznie ująć sytuację pisarską Jarochowskiej po wydaniu „Dziadowskiej miłości" — można by powiedzieć, że trzyma ona w ręku wielki skarb: skarb właściwego kierunku twórczego. Na Jarochowską czekał „temat wiejski" — na swoją Jarochowską czeka jeszcze tzw. powieść produkcyjna. Trudno: wszelka „wielka przygoda" dzieje się wewnątrz człowieka, w kręgu jego świadomości i jej odzewów na rzeczywistość. Pisarze — także i pisarze wiejscy — bali się nieraz dotąd zapuścić się w tajniki świadomości ludzkiej, bojąc się stracenia kontaktu z rzeczywistością, ze światem wokół człowieka. „Dziadowska miłość" Jarochowskiej pokazuje, jak wiele o wnętrzu człowieka można powiedzieć bez psychologistycznego nadużywania mowy pozornie zależnej, bez antyrealistycznego (bo to jest, niestety, antyrealistyczne) eksploatowania jednego tylko środka, chociażby uświęconego użyciem go przez wielkich klasyków prozy. Więcej: Jarochowska tworząc ekspozycję eposu zerwała ze schematem eposu, potrafiła idąc za przykładem Aleksego Tołstoja kreślić zarys epopei przy pomocy niewielkiej ilości wątków. Powtarzam: Jarochowska po napisaniu „Dziadowskiej miłości" trzyma w ręku wielki skarb pisarskiego wyrzeczenia się i samoograniczenia. Następne tomy cyklu „Na wsi" mogą ten skarb pomnożyć lub zmniejszyć — ale zniszczyć go nie potrafią.

Zbigniew Pędziński

*) Maria Jarochowska: Dziadowska miłość. Czytelnik. Warszawa 1955.

PIOTR ZIEMSKI

ARCYBISKUP — HUMANISTA

PIERWSZYM historykiem, który zajmował się osobą Mikołaja Trąby był Długosz. Opierał on swoje relacje raczej na żywej jeszcze o nim tradycji niż na źródłach dokumentalnych. Nowsza nauka historyczna zajmowała się niejednokrotnie pierwszym prymasem polskim Mikołajem, który należy niewątpliwie do najwybitniejszych postaci epoki późnego średniowiecza w Polsce.

Monografia arcybiskupa Trąby pióra ks. Jana Korytkowskiego, studium prof. Abrahama o statutach synodu prowincjonalnego w Kaliszu r. 1420 i poprawione wydanie „statutów Trąby" dokończone w r. 1951 przez Adama Vetulaniego, wreszcie szereg przyczynków w postaci nowych danych źródłowych lub poglądów, zwłaszcza ks. Likowskiego, ks. Fijałka i Polaczkówny — to materiały, na których przede wszystkim oparł swą pracę o Mikołaju Trąbie Tadeusz Silnicki. *)

Jak autor sam zaznacza, ówczesne dzieje Polski tak bogate w ludzi i zdarzenia, dzieje, w których kształtowaniu brał czynny udział arcybiskup Trąba, wysuwają się na pierwszy plan, zwłaszcza tam, gdzie tło dziejowe przerasta samą jego postać i gdzie trudno jest ustalić jego konkretny wkład w poszczególne sprawy Kościoła i Państwa. Stanowiska Mikołaja Trąby: kapelana i spowiednika Władysława Jagiełły, jego doradcy przez przeszło 30 lat, notariusza kancelarii państwowej i podkanclerzego koronnego, arcybiskupa halickiego, potem gnieźnieńskiego, wreszcie prymasa Polski — wskazują na jego wybitne znaczenie zarówno w państwie jak i w Kościele. Jego udział we wszystkich donioślejszych wypadkach na przełomie XIV i XV wieku, a więc w misji apostolskiej Jagiełły na Litwie, w radzie i w polu pod Grunwaldem, w akcie unii horodelskiej, a przede wszystkim przewodnictwo polskiej delegacji na soborze w Konstancji — skłania do oceny roli dziejowej Mikołaja Trąby jako szczególnie ważnej.

Na widownię publiczną wchodzi Trąba już jako człowiek dojrzały, wykształcony i wyrobiony. Brak jest źródłowych wiadomości o stopniach jego kariery zanim został kanonikiem kapituły katedralnej w Krakowie, nic też bliższego nie wiadomo, gdzie zdobył on wykształcenie. Musiał być jednak człowiekiem o wybitnych zdolnościach i talentach życiowych, jeśli przy swoim „wadliwym urodzeniu" (był synem księdza Jakuba z Sandomierza i kobiety stanu wolnego) mógł w państwie ekskluzywnie szlacheckim zrobić karierę męża stanu i najwyższego dostojnika kościelnego. Niewątpliwie w karierze tej dopomogli mu zarówno jego oficjalny ojciec Wilhelm, po którym odziedziczył prawo do herbu Trąby, jak i ojciec naturalny — Jakub, uczony scholastyk, który zajmował się prawdopodobnie jego wykształceniem. Przede wszystkim jednak o karierze Mikołaja Trąby zdecydował Jagiełło, potrzebując właśnie u swego boku człowieka nowego, niezwiązanego z gronem wielmożów świeckich czy duchownych, kogoś zaufanego i oddanego bezwzględnie i związanego z nim wspólnością nie tylko idei, ale i interesu.

Pierwsza misja dyplomatyczna Mikołaja to jego wyjazd do Rzymu w celu zawiadomienia kurii papieskiej o zawarciu królewskiego małżeństwa i o chrzcie Litwy. Był on naocznym świadkiem obu tych zdarzeń, a posiadał już widocznie dostateczne zaufanie króla i dobrą opinię co do swych talentów, jeśli powierzono mu tak ważne zadanie. W związku z roszczeniami Habsburgów z powodu niedoszłego małżeństwa ks. Wilhelma z Jadwigą Trąba został w Wiedniu uwięziony i nie mógł się wywiązać z powierzonej mu misji. Oficjalne poselstwo do Rzymu biskupa poznańskiego Dobrogosta w tych samych sprawach odbyło się dopiero po czterech latach i wówczas za wstawiennictwem wielu możnych Trąbę zwolniono, a dalsza kariera wskazuje, że Jagiełło wywdzięczał mu się za poniesione trudy i cierpienia.

Wynikiem małżeństwa królewskiego Jadwigi z Jagiełłą była, jak wiadomo, chrystianizacja Litwy. Idea w zasadzie prosta i dla świata chrześcijańskiego pożądana stawała się w wykonaniu niezmiernie trudną i zawiłą dzięki konkurencji dwóch nawracających czynników, tj. polskiego i krzyżacko - niemieckiego. W oczach Zachodu uchodzili Krzyżacy za apostołów wiary i pionierów kultury, w istocie zaś byli nie zakonem, lecz państwem totalnym, czołówką niemieckiego „Drang nach Osten" Krzyżacy, popierani przez dwie potęgi średniowiecza, papiestwo i cesarstwo, otrzymali przywileje nadające im w szerokim zasięgu ziemie pogan, które zdobędą. Czyniło to ich sprawę w oczach społeczeństw zachodnio - europejskich — słuszną i dobrą i narażało każdego, któ by z nimi walczył, na miano obrońcy i sprzymierzeńca pogan. Toteż na polu dyplomacji, która w kwestii polsko - litewsko - krzyżackiej działała na zmianę z akcją zbrojną, Krzyżacy mieli niewątpliwie przewagę.

Mikołaja Trąbę widzimy biorącego udział we wszystkich rokowaniach i układach z Zakonem, znajdujemy go również na polu bitwy pod Grunwaldem, gdzie wysłał własną chorągiew, czy pod murami oblężonego Malborka. Według słów Długosza nikt „z większą gotowością i zapałem nie obstawał za popieraniem oblężenia... przedkładał, że po zniesieniu oblężenia wiele dla króla i jego królestwa wyniknie klęsk i przeciwności". Jak wiemy, traktat toruński, na którym zresztą widnieje podpis podkanclerzego Trąby, nie przyniósł Polsce właściwie żadnego zysku, a jednocześnie niósł w sobie zarodek nowych zatargów i wojen, wywołując cały szereg procesów polsko - krzyżackich przed różnymi instancjami.

Najważniejszym forum, na którym sprawa polsko - krzyżacka wówczas była rozpatrywana, był Sobór w Konstancji, który okazał się nie tylko zgromadzeniem dla zagadnień kościelnych, ale równocześnie kongresem międzynarodowym, na którym radzono o sprawach politycznych. W skład delegacji polskiej pod przewodnictwem Mikołaja Trąby wchodzili ludzie o głębokiej wiedzy i dużej kulturze umysłowej, jak Paweł Włodkowic, rektor krakowski i Andrzej Laskarys, elekt poznański. Nie ułatwiało zadania delegatom polskim występowanie na soborze w ramach nacji germańskiej, zwłaszcza przy znamiennej wówczas roli króla rzymsko - niemieckiego Zygmunta, na którym Polska opierała swą politykę, ufając najzupełniej temu zawodnemu sprzymierzeńcowi. W podróży do Francji i Aragonii, mającej na celu skłonienie do abdykacji papieża Benedykta XIII, blisko osoby Zygmunta stał Trąba. W tej to podróży został w St. Denis pod Paryżem przedłużony rozejm między Polską i Zakonem.

Na plan pierwszy soboru wysuwała się oczywiście sprawa schizmy i przywrócenia jedności Kościoła pod jednym papieżem. Po ucieczce z Konstancji i depozycji wyrokiem soboru Jana XXIII, rezygnacji Grzegorza XII i depozycji opuszczonego przez Hiszpanów Benedykta XIII, pozostał sam suwerenny sobór i do niego należał wybór nowego papieża.

Kolegium wyborcze, w którym znalazł się Mikołaj Trąba, wybrało na papieża kardynała Oddo Colonnę — Marcina V. Nie zniósł on wprawdzie ani nie zatwierdził uchwał powziętych w Konstancji, cały jednak jego pontyfikat przeniknięty był ideą restauracji spraw papieskich i walki z pozostałościami konsyliaryzmu. Kryzys organizacyjny w okresie soboru nie doprowadził zatem do zmian ustrojowych w Kościele. Trudno też mówić o pomyślnym załatwieniu dwóch pozostałych dzieł soboru w zakresie spraw kościelnych: sprawy wiary i reformy kościoła *in capite et in mebris* i przeplatających się z nimi spraw politycznych, jak zatarg polsko - krzyżacki i francusko - angielski.

Sprawy zachowania czystości wiary wobec heretyckich nauk angielskiego Wycliffe'a i czeskiego Husa potraktowano jako odgrodzenie się od heretyków i zgładzenie ich, nie zaś jako odebranie im podstaw krytyki przez odpowiednią naprawę stosunków w Kościele. Zamiast reformy w porę — przyszła Reformacja, która wstrząsnęła podwalinami Kościoła znacznie silniej, niż to uczyniły herezje na przełomie XIV i XV wieku.

Uroczyste pismo Soboru w Konstancji do Jagiełły, zaopatrzone w pieczęć przewodniczącego czterech nacji, wyrażające najwyższą wdzięczność za gorliwość w popieraniu jego celów i podziękowanie za przysłanie tak znakomitych posłów — stwierdza jednocześnie, że delegacja polska stanęła na wysokości zadania i zjednała sobie zorganizowaną opinię publiczną świata chrześcijańskiego. Znaczna część tych sukcesów przypada przewodniczącemu delegacji Mikołajowi Trąbie. Według Długosza, jego zalety sprawiły, że omal nie został wybrany papieżem, taką cieszył się sławą. Niemałą rolę odegrała tu prawdopodobnie szczodrobliwość Trąby na tle lubującego się we wspaniałych wystąpieniach, ceremoniach i uroczystościach soboru.

Polacy nie wątpili, że w sporze z Krzyżakami sobór wzniesie się na wyższe stanowisko, na drogę sprawiedliwości. Sobór jednak uważając spór polsko - krzyżacki za rzecz uboczną, zepchnął go na obrady komisyjne i właściwie nic w tej sprawie nie zrobił. Samo jednak przedstawienie w świetle prawdy sporu Polski z Zakonem, sprostowanie fałszów i zmiana opinii świata chrześcijańskiego, który uważał poprzednio Grunwald za tryumf barbarzyństwa i pogaństwa nad kulturą i chrześcijaństwem należy uważać za poważne osiągnięcie polityki polskiej. Do sukcesu tego przyczynił się prócz Trąby przede wszystkim rektor krakowski Paweł Włodkowic przez swoje wywody teoretyczne i prawne, zawarte w kilku znakomitych traktatach. Dowodu na całą przepaść dzielącą metody polskie od krzyżackich w nawracaniu pogan dostarczyło przedstawione soborowi przez Polaków kilkudziesięcioosobowe poselstwo żmudzkie.

Na krótko przed zakończeniem soboru przybyło jeszcze trzecie poselstwo z państwa polsko - litewskiego — poselstwo ruskie z metropolitą kijowskim Camblakiem na czele dla przedstawienia sprawy unii Kościoła wschodniego z łacińskim. Myśl o unii tej, na której zależało przede wszystkim Jagielle i Witoldowi tak ze względów religijnych, jak i politycznych, nie mogła mieć wielkich szans powodzenia wobec stanowiska nowowybranego papieża, który przykładał większą wagę do ewent. porozumienia z patriarchatem w Konstantynopolu niż z metropolią w Kijowie.

Godność prymasa, którą przywiózł z Konstancji dla siebie i dla swoich następców, arcybiskupów gnieźnieńskich Mikołaj Trąba, wyodrębniała dany kraj w ramach organizacji kościelnej i stąd jej znaczenie dla Polski.

Ataki i zarzuty, z którymi spotkał się Trąba w kraju po powrocie z soboru, mając częściowo podłoże zawiści, związane były przede wszystkim z zawiedzionymi nadziejami na załatwienie w Konstancji sporu z Zakonem zgodnie z postulatami polskimi. Oparcie polityki polskiej na przymierzu z Zygmuntem, które w konsekwencji spowodowało oddanie sporu pod jego sąd rozjemczy, okazało się poważnym błędem. Po antypolskim i filokrzyżackim wyroku wrocławskim przymierze zostało zerwane i trzeba było dokonać gwałtownego zwrotu w polityce polskiej od cesarza do papieża. Stąd między innymi wynikło specyficzne ustosunkowanie się Polski do problemu czesko-husyckiego. Obawa o rozszerzenie się w Polsce posiewu husycyzmu i wpływ nakazów papieża Marcina V odbiły się wyraźnie na dziele, które jest najbardziej z osobą Mikołaja Trąby związane — to jest na tak zwanych Statutach Trąby. Statuty, będące kodeksem partykularnego prawa Kościoła polskiego, ogłoszono w r. 1420 pod imieniem Trąby. Kodyfikacja ta ujęła w całość średniowieczny porządek prawny w dziedzinie kościelnej oraz w dziedzinie w stosunku Kościoła do państwa i do społeczeństwa. Był to więc nie tylko statut organiczny Kościoła w Polsce, lecz jednocześnie statut obowiązujący dla społeczeństwa.

Tadeusz Silnicki ukazuje nam w swej pracy w sposób jak najbardziej obiektywny postać arcybiskupa Mikołaja Trąby, świetnego wyraziciela swojej epoki, człowieka kompromisu a nie walki, lecz jednocześnie wyróżniającego się spośród mężów stanu tej epoki zaletami umysłu i charakteru.

Piotr Ziemski

*) Tadeusz Silnicki: „Arcybiskup Mikołaj Trąba" Pax 1954, str. 204.

Madonna z Jednorożcem

Fragment tryptyku. Śląsk około 1470 r.

JAN KOWALSKI

Człowiek, który był muzyką

KAŻDA interpretacja literacka jakiegoś dzieła sztuki jest w gruncie rzeczy jego wypaczeniem. Chcąc wyjaśniać krytyk w pewnym stopniu zniekształca sens utworu. Każde wielkie dzieło sztuki jest do tego stopnia bogate i obszerne, że znosi z powodzeniem interpretacje najzupełniej sprzeczne. Sąd i określenie krytyka jest w mniejszym stopniu sensem utworu, co jego własną prywatną koncepcją, ugruntowaną zresztą spostrzeżeniami i reakcjami różnych ludzi. Specyfika i absolutnie nieprzekładalne na inny język charakter utworu nie da się siłą faktu wyłożyć i przełożyć całkowicie na język inny od własnego.

Bezpośrednią zaletą tych bardzo zmiennych interpretacji jest to, że zbliżają dzieło sztuki do odbiorcy, który często nie doszedłby sam do stanu zaciekawienia, podrażnienia, podziwu. Odbiorca wierzy na słowo krytykowi, chce widzieć, czy słyszeć w utworze to, co mu krytk powiedział, szuka tego — często nie znajduje, ale w trakcie szukania odnajduje wartości dostępne i zrozumiałe dla siebie. Obraz, czy utwór muzyczny procentuje dzięki jego wrażliwości; jest żywy, bo wskrzesza się dotknięciem żywego człowieka.

Najgorzej jest z muzyką. Pisanie o muzyce jest piekielnie trudne i niebezpieczne. Można podziwiać wspaniałe opisy Prousta — które w większości są opisami muzyki nie istniejącej, wymyślonej przez samego autora — ale podziwia się wtedy tylko świetną literaturę a nie muzykę. Znacznie częściej opisów i krytyk muzycznych się nie podziwia; wprost przeciwnie.

To wszystko jest wstęp i to wstęp rozwlekły i nie bardzo związany z dalszą treścią. Ale jak nie być zażenowanym, kiedy chce się pisać o muzyce, o świetnym kompozytorze, który — poprzez fakt nadania mu pośmiertnie Nagrody Pokoju — powinien stać się postacią o wiele bardziej cenioną niż dotychczas: Uwielbia go garstka fachowców i dość jeszcze nieliczna — przynajmniej u nas — garstka niefachowych wielbicieli. Chodzi o Węgra Belę Bartoka (1881—1945) — jednego z największych twórców naszego stulecia.

Muzyka Bartoka dla przeciętnego słuchacza jest dość trudna. Wchodzi się w nią powoli, napotykając stale na pozornie rozmyślne przeszkody. Odbiera się ją jak — po raz pierwszy — „W stronę Swanna" Prousta. Wymaga skupienia, początkowo nawet dużo dobrej woli, trochę uporu, sporo wrażliwości, ale to wszystko się opłaci. Słuchanie, usiłowanie słuchania Bartoka — to mozolne rozwalanie pancernej kasy. Bogactwa, które są w środku opłacają włożony trud.

Bartok, to taki Mozart, któremu kazali się urodzić w XX wieku i wysłuchać cały dotychczasowy muzyczny dorobek. Bartok to człowiek epoki rococo, przeniesiony nagle do fabryki odrzutowych samolotów. Trochę się dziwi, trochę kręci nosem, trochę podziwia — jest speszony, ale posiada dość inteligencji, kultury, dość geniuszu, żeby zaaklimatyzować się w nowych warunkach; przetworzyć, wyrazić — czasem wysławić, a czasem sparodiować te warunki; przyjąć honorowe obywatelstwo XX wieku.

Bartok nie był człowiekiem, był muzyką. Mało jest w historii muzyki przykładów tak całkowitego oddania się swojemu rzemiosłu; takiej rezygnacji z praw człowieka na korzyść spraw sztuki. To bardzo nieszczęśliwie powiedziane; i bardzo fałszywie, bo Bartok nie należał nigdy do ludzi, którzy hołdowali ślepemu kultowi sztuki. Moralność, ogromne poczucie odpowiedzialności, szeroki i bardzo ludzki horyzont Bartoka przekreślał wszelki rodzaj pięknoduchowstwa. Bartok czcił tylko sztukę, ale w sztuce widział tylko człowieka.

Wielkość Bartoka tkwi w tym, że oddając się bynajmniej nie ślepo, ale z całym rozmysłem i świadomością sztuce — nie zapomniał nigdy o celu, jakiemu sztuka powinna służyć. Wchłonął w siebie wszystko, co było twórczego, rewolucyjnego, odkrywczego we współczesnej muzyce. Doskonale uświadamiał sobie znaczenie dodekafonii Schoenberga — (zbliżając się nierzadko do skali 12 tonowej i asymilując jej możliwości) obserwował z uwagą (a często z uwielbieniem) twórczość Strawińskiego, znał świetnie bieżącą sytuację w muzyce swojej epoki. Przy tym wszystkim był Węgrem, jak nikt inny w jego kraju zanalizował węgierską twórczość ludową (jako młody człowiek jeździł po całym kraju nagrywając i notując ludowe motywy). Zlepił — pierwszy chyba w historii muzyki — ludowość i odrębność narodowego charakteru z najbardziej odważnymi poszukiwaniami formalnymi.

Pomnik Beli Bartoka w Budapeszcie

Drobny, delikatny człowiek o dużej, pięknej głowie, o dziwnych wyrazistych oczach; człowiek, który był samą wnikliwością, inteligencją, ciekawością, antytezą wszelkiej wulgarności, apoteozą precyzyjnego myślenia — nie przypadkowo nasuwa porównanie z Mozartem. Mozart w równym stopniu ukrywał samego siebie, swoje własne prywatne realne życie w muzyce. Kłopoty zaczynają się dalej. Bartok nie ma jednoczesności Mozarta. Mistrzem jego młodości był Beethoven i chociaż prędko odrzucił wpływ Beethovena na korzyść przedbachowskiej muzyki (przede wszystkim Couperina i Scarlattiego — muzyka jego (zwłaszcza muzyka późniejsza), posiada pewien heroiczny charakter kojarzący się z twórczością Wielkiego Ludwika.

W tym wypadku Bartok jest unikatem. Heroizm w sztuce pierwszych dziesiątków dwudziestego wieku jest cechą niezmiernie rzadką. Dominanta warsztatu, matematycznej logiki, trzeźwości wykluczającej często wszelką emocję — to cecha dość powszechna ówczesnej europejskiej muzyki. Doktrynerskie odsunięcie się od jakiejkolwiek treści, separacja sztuki od życia nie sprzyjały rozwinięciu w muzyce tego specyficznego patosu i rozmachu, który jest cechą najbardziej twórczych i bujnych okresów w historii kultury.

Heroizm Bartoka wynika z jego konsystencji psychicznej. Człowiek nadzwyczaj nieśmiały, zachowujący się zawsze z ogromną rezerwą, a nieraz zrażający sobie ludzi pozornym chłodem, niesłychanie wrażliwy i urażliwy — miał wielkie poczucie własnej wartości i ambicję wypełnienia do końca tego, co uważał za swoje posłannictwo — wyłącznej pracy nad muzyką kosztem wszelkich wyrzeczeń. „Rzeczą, o którą walczę jest rezygnacja — pisał Bartok jeszcze jako młody człowiek — i oswoiłem się z myślą, że nie może być inaczej. Musimy osiągnąć stan, z którego na wszystko można spoglądać ze spokojem i obojętnością. To jest trudne do zrealizowania, ale raz osiągnięte staje się największym zwycięstwem nad wszelkimi okolicznościami i nad sobą samym".

Czy Bartok naprawdę osiągnął to, o czym za młodu marzył — to inna sprawa. Raczej mu się to nie udało — tym gorzej dla Bartoka, tym lepiej dla jego muzyki. Uparte trzymanie się swoich wytycznych dało mu jednak siłę zwalczania ogromnych przeciwności, z którymi przez całe życie się stykał. Ta walka, tak jak u Beethovena, jest źródłem heroizmu Bartoka.

Lata czterdzieste na emigracji w Nowym Jorku. Kompletna niemal ignorancja jego muzyki, która dopiero po śmierci odniosła wielki sukces. Kłopoty materialne, potęgowane jeszcze dumą i rezygnacją z wszelkiej finansowej pomocy przychylnych mu ludzi. Trudność w znalezieniu jedynej odpowiedniej pracy (studia nad folklorem, czy zamówienia kompozytorskie) — te wszystkie warunki, które wyczerpywały Bartoka, niezdolnego do jakiegokolwiek kompromisu były jedynie bodźcem do dalszej walki. Bartok wierzył w siebie i w swoją muzykę. Nie był grany w Ameryce, ale zabronił wykonywania swoich utworów w europejskich rozgłośniach radiowych, których zasięg umożliwiał słuchanie ich na terenie hitlerowskich Niemiec. Zachował nienawiść do ustroju, który go wygnał z Węgier; zachował cierpliwość i świadomość własnej racji.

Jedną ze sprzeczności zawartych w każdym wielkim dziele, sprzeczności z pewnością powierzchownych, umożliwiających najbardziej rozmaitą interpretację — jest w muzyce Bartoka, jak w nim samym, mieszanina heroizmu ze skromnością, dumy z nieśmiałością. Muzyka Bartoka jest bezsprzecznie skromna, brak jej błyskotliwości i tego urzekającego wdzięku, jaki posiadają utwory Ravela czy wczesne Strawińskiego. W muzyce Bartoka nie ma nic powierzchownego, można mówić o jej wewnętrznej materialności pozbawionej jednocześnie jakiejkolwiek czysto rozumowej spekulacji; pozbawionej chłodu, który zawsze zdradza twórczość pracowicie wykoncypowaną. Odnosi się wrażenie, że forma w utworach Bartoka jest czymś zupełnie intuicyjnym — że to forma wyczuta, a nie wyuczona. Jest w tym może przyczyna stylistycznej odrębności Bartoka, która była widoczna już we wczesnych utworach do tego stopnia, że jeden z krytyków w latach dwudziestych pisał: styl Bartoka odznacza się tym, że go nie ma.

Odrębność Bartoka wypływa także z odrębności węgierskiego folkloru. Bartok do tego stopnia zanalizował i przyswoił sobie charakter i budowę węgierskiej pieśni ludowej, że rezygnując w ostatnich utworach z posługiwania się oryginalnymi ludowymi motywami, buduje swoje własne — jednocześnie bardzo indywidualne i bardzo węgierskie. Staje się wtedy kontynuatorem twórczości ludowej, świadomym całej nowoczesnej techniki. Bartok tak utożsamił się z muzyką, unikając podbudowania jej jakimiś teoriami filozoficznymi czy literackimi — że twórczość muzyczna staje się jedyną formą jego aktywności: jakimś naturalnym produktem funkcjonującego organizmu. Nawet swoje uwagi krytyczne na temat wykonawstwa wyraża (jak Bach) w formie samej muzyki („Mikrokosmos" — wielki zbiór drobnych utworów na fortepian; „44 utwory na dwoje skrzypiec") — wskrzeszając tym tradycję muzyki przeznaczonej dla samego wykonawcy. Zresztą „Mikrokosmos" tak jak Inwencje Bacha nie są muzyką bez słuchaczy.

Prawdziwą, najpełniejszą muzykę Bartoka stanowią utwory powstałe w ostatnich dziesięciu lat życia: Divertimento, Koncert na orkiestrę, Muzyka na smyczki, harfę i perkusję, Koncert skrzypcowy, altówkowy, fortepianowy. Bartok, w odróżnieniu od Szymanowskiego, miał czas rozwinąć swój bardzo osobisty styl i wyciągnąć ostateczne konsekwencje z pracy całego życia. Miał czas przetrawić wszystkie wpływy — począwszy od muzyki ludowej, od pre-klasyków Bacha poprzez Brahmsa i Straussa — do dodekafonistów; wykluczając wszelkie powierzchowne powinowactwo — wchłonąć je w swoją twórczość. Dziwny jest charakter tych utworów. Trudno go określić — po prostu charakter bartokowski. Jest to muzyka silna, zwięzła, czasami można by powiedzieć — gruzłowata, nierzadko bardzo dramatyczna (np. Koncert skrzypcowy, czy druga część Divertimento), muzyka wymagająca skupienia i trzymająca w napięciu. O ile Ravel czy Debussy czarują, to Bartok potrafi hypnotyzować, stworzyć swój klimat. On nie jest kuglarzem — ale magiem. Ma jakąś ogromną siłę sugerowania, jakąś powagę i rzeczowość; brak mu przy tym zręczności i łatwości — jest kanciasty i konkretny, ale przy tym nigdy nie jest brutalny. Napięcie dramatyczne w jego muzyce jest czasem zupełnie niezwykłe. W jednym z sześciu kwartetów, które obok kwartetów Schoenberga są najwybitniejszym pociągnięciem współczesnej muzyki kameralnej — w ostatniej części Piątego Kwartetu, po trudnym, pełnym nerwowego napięcia fragmencie pojawia się nagle banalna urocza piosenka, prosta i wesoła — efekt jest przedziwny.

Bartok jest w ogóle przedziwny. Tak złożony, że aż prosty.

Jan Kowalski

TADEUSZ GÓRSKI

ŁAWNICY I ŻYCIE

OD dłuższego czasu w kilkunastu ruchliwych punktach Krakowa pojawiły się „galerie chuliganów" W oszklonych gablotach, zabezpieczonych gęstą drucianą siatką, umieszczone są zdjęcia. Pod każdą fotografią napis informuje o winowajcy, o popełnionym przez niego wykroczeniu i o wymierzonej mu przez Kolegium Orzekające karze.

Pojawienie się w Krakowie „galerii chuliganów" nastąpiło w niedługim czasie po powołaniu do życia Kolegiów Orzekających przy Dzielnicowych Radach Narodowych. Funkcjonujące dotychczas Kolegium przy Miejskiej Radzie Narodowej nie mogło sprostać zadaniu zwalczania tak dokuczliwych plag społecznych. Zadanie to nie jest bynajmniej łatwe i niewątpliwie wykonanie go nastręczy sporo trudności Kolegiom Dzielnicowym i Gromadzkim, które są przecież młodymi jeszcze organami władzy ludowej w naszym kraju. Ale mniejszy ilościowo i terytorialnie zasięg oddziaływania, a tym samym lepsza znajomość środowiska, powinna przyczynić się do większej skuteczności pracy kolegiów.

Kolegia Orzekające rozpatrują sprawy tych obywateli, którzy dopuścili się wykroczeń. Wykroczeń nie należy oczywiście utożsamiać z przestępstwami, do rozpatrywania których kompetentne są wyłącznie sądy. Ale czy wykroczenia jako zjawisko masowe nie stwarzają odpowiedniego klimatu, sprzyjającego popełnianiu przestępstw? Czy nie są one pierwszymi krokami, które stopniowo prowadzą do więzienia lub obozu pracy? Zetknięcie się z Kolegium ludzi winnych wykroczeń ma być dostatecznie mocnym ostrzeżeniem na przyszłość. I tak najczęściej bywa.

Niejednokrotnie solidni w pracy zawodowej i życiu domowym ludzie wchodzą sporadycznie w kolizję z obowiązującymi przepisami porządkowymi, np. przez wywołanie w stanie nietrzeźwym awantury, zaczepki itp. Dla tej kategorii osób zetknięcie z Kolegium Orzekającym wystarcza, aby powstrzymać ich od dalszych wybryków. Otrzymane upomnienie lub kara pieniężna skutkują.

Zagadnienie komplikuje się jednak, gdy wykroczeń dopuszczają się chuligani, nałogowi alkoholicy, kobiety tzw. lekkich obyczajów, osoby często zmieniające miejsce zamieszkania lub bez stałego zamieszkania. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że dla tej kategorii osób wykroczenia są dopiero „startem" do coraz gorszych występków, a wreszcie przestępstw. Potwierdza to fakt częstego powrotu tych ludzi przed Kolegium Orzekające. Recydywiści nie zadowalają się swoimi „osiągnięciami", w rezultacie i szkody społeczne są większe i z kolei zachodzi konieczność pociągnięcia ich do odpowiedzialności sądowej.

Czy Kolegia Orzekające Rad Narodowych mogą skutecznie przy pomocy dostępnych im środków przymusu administracyjnego powstrzymać te osoby od dalszego popełniania wykroczeń? Niewątpliwie powinni to zrobić. Często jednak zdarza się, że środki oddane do dyspozycji Kolegiów Orzekających zawodzą.

Dlaczego? Dlatego, że niektóre Kolegia dysponują nimi w sposób niewłaściwy, niepedagogiczny. Dlatego, że bardzo często nie egzekwuje się w obowiązujących terminach orzeczonych kar, wskutek czego zostają one umorzone.

Muszę zrobić jednak w tym miejscu dosyć dużą dygresję, aby bliżej scharakteryzować zjawiska, z jakimi walczą Kolegia Orzekające Rad Narodowych. Posłużę się znowu przykładem wziętym z działalności krakowskiej MRN. W ubiegłym roku wpłynęło ok. 12 tys. zawiadomień o naruszeniu przepisów o ruchu na drogach publicznych. W następnej kolejności idą zawiadomienia o naruszeniu przepisów ustawy antyalkoholowej (ponad 11 tys.), zawiadomienia o zakłócaniu spokoju publicznego i złośliwym niepokojeniu, dokuczaniu itp. (ok. 7 tys.).

Wiele się na temat tych wad społecznych pisze, dyskutuje. Ale czas już wyjść poza obręb dyskusji oraz dotychczasowych dosyć nikłych osiągnięć i przejść do energicznej, prowadzonej z całym rozmachem i przy zastosowaniu różnych środków, skutecznej walki. Czyż nie posiadamy w naszych miastach i wsiach nadmiernej ilości punktów sprzedaży alkoholu? Na miejscu zlikwidowanych barów, knajp, szynków można uruchamiać zakłady zbiorowego żywienia bez sprzedaży alkoholu, sklepy, punkty usługowe, bary mleczne itp. Rady Narodowe są kompetentne do podjęcia w tym zakresie uchwał i kontroli ich wykonania, a Kolegia Orzekające do surowego karania nieprzestrzegających tych uchwał. Ograniczenie sprzedaży i konsumpcji alkoholu na pewno zmniejszyłoby ilość awantur, kłótni, wybryków chuligańskich w naszych miastach i wsiach. Najwięcej bowiem wykroczeń wynika właśnie z nadmiernej konsumpcji alkoholu (około 60 proc.)

Naruszanie przepisów o ruchu na drogach publicznych urasta dziś także do rangi niezmiernie dokuczliwej plagi społecznej. Setki i tysiące nieszczęśliwych wypadków, olbrzymie straty materialne — oto rezultat rozwijania nadmiernej szybkości pojazdów drogowych, nieprzepisowego mijania pojazdów, nieprzepisowego przechodzenia przez ulicę, brawurowej jazdy na stopniach i zderzakach tramwajowych, puszczania luzem bez jakiejkolwiek opieki bydła na drogi itp. Zaostrzenie administracyjnych sposobów walki z tym szkodliwym zjawiskiem społecznym jest nieodzowne, zwłaszcza, że ustawicznie wzrasta w naszym kraju ilość środków i pojazdów mechanicznych.

Trzecie ujemne zjawisko społeczne, charakteryzujące nasze obecne życie, przejawia się w kłótniach i swarach domowych, we wzajemnym złośliwym dokuczaniu użytkowników wspólnych mieszkań. Jakie zadania mają tu do spełnienia Kolegia Orzekające? Łatwo jest postawić diagnozę tej skomplikowanej choroby społecznej, trudno natomiast znaleźć środki, które zdolne byłyby ją szybko i radykalnie uleczyć. Zachodzi jak najbardziej oczywista konieczność dalszego powiększania budownictwa mieszkaniowego, poszerzania zakresu mieszkaniowych robót remontowych, czuwania nad sprawnym funkcjonowaniem władz kwaterunkowych, a w szczególności nad właściwym, nie mechanicznym przeprowadzaniem przez te władze dokwaterowania do mieszkań. Wysiłki muszą iść w tym kierunku, aby zmniejszać ilość wspólnych kuchni, przechodnich pokoi, które często potrafią zamienić „wypróbowanych" przyjaciół lub krewnych w zażartych wrogów. Czy winna tu tylko kuchnia, tylko przechodni pokój? Czy raczej winni są za ten stan rzeczy ludzie i ich charaktery? Nie zapominając ani na chwilę o konieczności zwiększenia budowy coraz większej ilości samodzielnych mieszkań, musimy jednak wołać na alarm o ludzki styl życia w naszych wspólnych mieszkaniach, o szczerą atmosferę i wzajemną serdeczną życzliwość.

Kolegia Orzekające rozpatrują wiele, aż za wiele spraw, dotyczących „złośliwego dokuczania". Tak w terminologii prawniczej określa się tzw. piekło domowe. Przed Kolegium stają strony, z których wprawdzie jedna wnosi skargę, ale podczas przesłuchania obie wzajemnie się oskarżają. Która z nich mówi prawdę, kto ponosi winę? Bardzo trudno dać prawidłową odpowiedź. Mało jest bowiem spraw, zwłaszcza tego typu, których rozstrzygnięcie nie nastręcza zbyt wielu trudności. Trzeba dokładnie zbadać towarzyszące zajściom okoliczności, a jakże często brak na to czasu. Bez dokładnej analizy nie wolno Kolegium wydawać orzeczeń, gdyż ukaranie strony szykanowanej a także niewłaściwe, niepedagogiczne podejście do strony obiektywnie winnej a subiektywnie czującej się pokrzywdzoną nie usuwa, ani nie zmniejsza zasięgu zła. Kara, jaką wymierza Kolegium, niezależnie od wezwania stron do zgodnego pożycia, do poprawy, winna być elementem wychowawczym, przypominającym o podstawowych obowiązkach wobec bliźnich, a nie czynnikiem, który by w efekcie stan domowego „piekła" pogorszył.

Jakże się jednak często zdarzało i zdarza, że Kolegia Orzekające Rad Narodowych opacznie pojmują swoje zadania, że po prostu — użyjmy trywialnego wyrażenia — „odwalają" sprawy mechanicznie i byle szybciej, bez przejawiania szczerej troski o człowieka, o jego obywatelskie wychowanie. Sypie się wtedy karami w gorączce nadgorliwości jak z rękawa, bez dostatecznego namysłu, czy osiągną zamierzony efekt. Albo znów, popadając w drugą skrajność, przymyka się oczy na jawne wypadki naruszania porządku publicznego. Nie trzeba chyba udowadniać, że taki styl pracy przynosi olbrzymie szkody społeczne i moralne, podrywa autorytet tak ważnego organu władzy ludowej.

Ażeby tego rodzaju styl pracy nie wypaczał sensu i zadań instytucji kolegiów orzekających, niezmiernie ważny jest właściwy dobór członków kolegium. Są nimi radni, a więc osoby cieszące się zaufaniem obywateli. Winni oni znać dobrze środowisko, w którym kolegium spełnia swoje funkcje wychowawcze. Winni oni także znać psychologię człowieka. Nie chodzi tu oczywiście o specjalne, fachowe wykształcenie. Ale nie ulega wątpliwości, że trzeba mieć dużo doświadczenia życiowego i kierować się tzw. zdrowym rozsądkiem. Członkowie Kolegiów Orzekających uczą się wiele w toku swej pracy, ale by dobrze mogli wypełniać swe obowiązki winni uprzednio nabyć również pewien zasób wiadomości zarówno teoretycznych jak i praktycznych. Szkolenia członków kolegiów z zakresu obowiązującego ustawodawstwa karno - administracyjnego, psychologii, pedagogiki — nie wolno lekceważyć. Rady Narodowe winny roztoczyć, zwłaszcza przez Komisje Porządku Publicznego, stałą kontrolę i opiekę nad całokształtem działalności Kolegiów Orzekających.

Szybkie, energiczne egzekwowanie orzeczonych kar ma poważne znaczenie pedagogiczne. Może się wydawać, że jest rzeczą aż nazbyt oczywistą, aby o tych sprawach pisać. A jednak trzeba. Duży bowiem odsetek orzeczonych kar jest umarzanych właśnie z powodu nieegzekwowania ich w obowiązującym, ustawowym terminie przez Wydziały Społeczno - Administracyjne Rad Narodowych. Zbyteczne tłumaczyć, jakie fatalne skutki pociąga za sobą tego rodzaju praktyka. Czy m. in. nie tkwi tu jedna z przyczyn tak poważnej liczby wykroczeń w naszym kraju, skoro wiele z nich uchodzi bezkarnie? Czyż nie zachęca to do ich dalszego popełniania?

Wyegzekwowanie orzeczonej kary nie powinno jednak sprawy kończyć. Starałem się podkreślać, że zadaniem Kolegiów Orzekających jest wychowanie obywateli. Ale nie wolno zapominać, że nie są one jedynymi organami władzy ludowej, które prowadzą akcję uświadamiania i wychowania obywatelskiego. Konieczna jest ścisła, harmonijna współpraca między Kolegiami Orzekającymi a sądami, organizacjami politycznymi i społecznymi, zakładami pracy, komitetami blokowymi i całym szeregiem innych instytucji.

Dla wzmocnienia skuteczności walki z różnymi plagami społecznymi Kolegia Orzekające stosują wiele dodatkowych sposobów. Zawiadamiają np. zakład pracy, że pracownik dopuścił się wykroczenia. Zawiadamiane są organizacje polityczne, społeczne, komitety blokowe — te ostatnie głównie w wypadkach kłótni i swarów domowych. Nazwiska ukaranych chuliganów, pijaków publikowane są w prasie, ich zdjęcia pokazywane przed seansami filmowymi itp.

Ale trzeba pamiętać, że nie tylko po to publikuje się nazwiska chuliganów i pijaków w prasie, aby odstraszyć innych. Tą drogą Kolegium Orzekające, które ma przecież ograniczone możliwości wychowawcze, wskazuje jednostki, które trzeba otoczyć szczególną opieką, których dalszym wychowywaniem należy się szczerze zająć. Proste porównanie, że instytucja Kolegiów Orzekających spełnia rolę lekarza przeróżnych schorzeń społecznych, wskazuje, że tym większa odpowiedzialność i zakres zadań, im poważniejsza choroba i większe jej natężenie. Rozpanoszone zjawiska chuligaństwa, pijaństwa, awantur i kłótni domowych, urastające do rangi niezmiernie dokuczliwych plag społecznych, muszą być w sposób energiczny eliminowane z naszego życia. Trudne w tym zakresie i szczególnie odpowiedzialne zadania stoją przed Kolegiami Orzekającymi. W tej pracy Kolegia Orzekające nie powinny się czuć osamotnione, należy się im pomoc i opieka nadrzędnych organów władzy ludowej, organizacji politycznych i społecznych, ale także nieodzowna jest szeroko rozumiana współpraca z całym społeczeństwem.

Tadeusz Górski

List do Redakcji

W sprawie artykułu M. Kurzyny

W ZWIĄZKU z artykułem red. M. Kurzyny, omawiającym w 32 numerze Waszego pisma audycję radiową z dnia 29 lipca br., pozwalam sobie przesłać kilka uwag.

Od jakiegoś czasu opowiada się jako autentyczną następującą historię. Rzecz miała się zdarzyć w Krakowie — wedle jednych, w Łodzi — według innych informatorów. Otóż 15-letni chłopiec wraz młodszą od siebie dziewczynką miał się doczekać dziecka. Matka (lub macocha) dziewczynki, spostrzegłszy jej odmienny stan, nielitościwie wyrzuciła ją z domu. Rozwiązanie nastąpiło w jakichś ruinach czy opuszczonej szopie. Nieletni ojciec dziecka opiekował się jak umiał swoją rodziną. Wyniósł pokryjomu pościel i pod pozorem dożywiania ubogiego kolegi zabierał z domu bardzo obfite śniadania, bodaj i obiady. Zachowanie chłopca wydało się rodzicom podejrzane. Poczęli więc dochodzić prawdy. Sprawa przybrała o tyle „szczęśliwy" obrót, że rozsądni ci ludzie zabrali młodocianą matkę z maleństwem do siebie i zaopiekowali się nim jak należało.

Tyle wieść gminna.

Komentarze — niezależnie od różnych poglądów moich rozmówców — zgodne. Potępiające matkę dziewczynki, pochwalające ludzkość rodziców chłopca, a jemu samemu przyznające (ku zawstydzeniu wielu dorosłych) dużą dozę odpowiedzialności za własne czyny.

Dlaczego przytaczam to opowiadanie, krążące z ust do ust w zmienionych wersjach? Moim zdaniem jest ono dowodem, że pewne zagadnienia nie dostrzegane przez publicystów lub traktowane z zażenowanie, marginesowo nurtują przecież w społeczeństwie i domagają się omówienia i uregulowania.

Na tym tle wspomniana audycja radiowa miała jedyny plus: była aktualna. Pod każdym innym względem ocenić ją należy negatywnie. Trudno bowiem doprawdy byłoby uwierzyć, aby temat podobnej zainscenizowanej „na gorąco" dyskusji został wyjawiony jej uczestnikom dopiero w studio, tuż przed otwarciem mikrofonów. Dla wszystkich chyba słuchaczy radia poruszony w audycji problem społeczny miał swą wagę i wymowę. Cóż dopiero dla uczestników audycji! Tym większy zawód, większe rozczarowanie po tak nieostrożnym potraktowaniu tematu!

Osobiście odniosłem takie wrażenia: sądy dla nieletnich mają z tymi sprawami bardzo dużo kłopotu; młodzież ma prawo do miłości; dzieci mają prawo do życia, wszakże opieka nad nimi przysparza społeczeństwa nowych trudności. Jak pogodzić wynikające stąd sprzeczności? Wznowić książki referujące teorię Ogino-Knausa, uświadomić młodzież (wzywając do współpracy rodziców, wychowawców i organizacje młodzieżowe, które w tym względzie dotychczas nic nie uczyniły), upowszechnić środki antykoncepcyjne. Załatwione!

Jakoś nie pasowało mi to do humanitaryzmu i postępu w rozwoju społeczeństw, postępu ograniczającego wolność jednostki na korzyść dobra zbiorowego. Zastanawiałem się długo. Czyżbym już tak skołtuniał na tej prowincji — od czasu do czasu jedynie odświeżając myśl w stolicy? Nie, raczej nie! To ktoś inny widocznie się zagalopował mieszając podstawowe prawa dzisiejszego człowieka: prawo do nauki, pracy i odpoczynku — z „prawem do miłości" (pojętym wedle idei przewodniej radiowej dyskusji), niezgodnym chyba z wymogami zdrowia społecznego!

Tak, należy żałować, że społecznie ważna dyskusja odbyła się aż nadto na gorąco i to w dodatku na falach eteru, zataczających szerokie kręgi, z czego radiowcy powinni i na pewno zdają sobie sprawę.

Red. M. Kurzynie i „Dziś i Jutro" jestem wdzięczny za szybkie i zdecydowane wystąpienie. Jako dla ojca zagadnienia poruszone w audycji są może dla mnie bardziej odległe, jednakże pojmuję troskę tych rodziców, którzy — w obliczu „niebezpiecznego wieku" własnych dzieci — konfrontują aktualnie swoje zasady z wyłożonymi przez radio.

A. Krzyżanowski

ZAGADNIENIA I DYSKUSJE

ZBIGNIEW MALARSKI

„Etatowe konsumentki"

BYWANIE w kawiarni nie jest monopolem jakiejś uprzywilejowanej grupy społeczeństwa. Tak było dawniej. Dziś bary kawowe i owocowe, cukiernie i kawiarnie cieszą się ogromną popularnością szerokiego ogółu ludzi pracy — dowodem tego chociażby trudność uzyskania w nich stolika w godzinach popołudniowych. Do kawiarni chodzi się, by wypić kawę, poczytać prasę lub spotkać się z przyjaciółmi; są ludzie, którzy trudniejsze problemy zawodowe rozwiązują właśnie w czasie dyskusji przy stoliku kawiarnianym. Śmiało i bez przesady można więc powiedzieć, że kawiarnia poczęła odgrywać w naszym życiu społecznym, kulturalnym i towarzyskim dużą rolę.

Dziwne się jednak wydaje i wzbudza wiele zastrzeżeń, jeśli dzień w dzień spotyka się w lokalach grupki młodych dziewcząt w wieku szesnastu — osiemnastu lat, przesiadujące nad pół czarnej po kilka godzin dziennie, a opuszczające lokal późnym wieczorem, w towarzystwie mniej lub więcej przygodnych znajomych, poznanych w czasie tego kawiarnianego urzędowania. Kierowniczka kawiarni „Pod Kurantem" mówiąc o nich użyła dowcipnego określenia: „etatowe konsumentki".

— „Mam ich tutaj kilkanaście. Niektóre zjawiają się już koło południa, a opuszczają lokal z chwilą zamykania.

Nierzadko się zdarza, że stoliki na antresoli, gdzie gra pianista, zajęte są całymi godzinami przez jedno wielkie towarzystwo, którego owe dziewczęta są najważniejszymi osobami. Towarzystwo zachowuje się nazbyt swobodnie i hałaśliwie, a popija często przyniesioną ze sobą wódkę, utrudnia personelowi pracę i jest utrapieniem pozostałej klienteli".

Oto krótka i lapidarna wypowiedź kierownictwa lokalu.

Ulubionymi kawiarniami, w których najchętniej bywają „etatowe konsumentki" są: „Stylowa", „Pod Kurantem" i „Nowy Świat" — a więc trzy największe i najbardziej reprezentacyjne lokale Warszawy. Oczywiście kierownictwo kawiarni niechętnie widzi je u siebie. Pomijając już fakt wielogodzinnego blokowania stolików (plan!) są one przyczyną niezbyt pochlebnej renomy, jaką cieszą się te trzy w pierwszym rzędzie zakłady WZG. Utarło się bowiem, nie pozbawione słuszności mniemanie pewnej grupy młodzieży nazywanej jakże pobłażliwie „złotą", że towarzyszkę do zabawy można najłatwiej wybrać sobie w „Stylowej", „Kuramcie" lub w „Nowym Świecie". O jaką zabawę chodzi, jak i gdzie się ona kończy — przemilczymy. Wystarczy tu wspomnieć powody, dla których zlikwidowano „Paradis", zaprzestano „fajfów" w „Stylowej"; wystarczy dostrzec to, co dziać zaczyna się w innych lokalach rozrywkowych. Niektórzy nazywają to „taaką" zabawą.

Zjawisko „etatowych konsumentek", lub jak kto woli — kociaków lokalowych, nie byłoby może warte opisywania, gdyby dotyczyło nielicznej i nic nie znaczącej grupki młodych dziewcząt. Niestety, tak nie jest. Coraz bardziej bowiem zjawisko to nabiera cech typowości i staje się charakterystyczne dla lokali stołecznych. Dyskusja o młodzieży pomijała prawie całkowicie milczeniem osobę towarzyszki „złotego młodziana", zwaną popularnie kociakiem. Kim są młode dziewczęta, które chęć zabawy doprowadza do tego, że bez względu na cenę, której się od nich za to żąda, gotowe są dotrzymać towarzystwa w nocnej hulance przygodnie poznanym przy kawie młodzieńcom (zresztą nie tylko młodzieńcom — jak się zdarzy) o wiadomym stylu życia?

Na uwagę zasługuje tutaj jeden charakterystyczny, a bezsporny fakt. Otóż z reguły kandydatki na „kociaka lokalowego" pojawiają się na zadymionym widnokręgu kawiarnianym w okresie pomaturalnym. Kiedy zakończy się nauka, a zmora egzaminów szybko idzie w niepamięć, młoda dziewczyna zostaje wytrącona z normalnego trybu życia codziennej nauki i pracy nad książką. Dzieje się to wtedy, gdy nie ma ona zamiaru kształcić się dalej i nie idzie do pracy.

Jakże często rodzice tolerują nieróbstwo córki, patrząc na nie przez palce, nie mając przy tym możliwości kontrolowania, jak spędza ona czas poza domem. A ma tego czasu sporo. Utrzymywane „szkolne" kontakty z przyjaciółkami, najczęściej z powodu nieodpowiednich warunków mieszkaniowych, doprowadzają do spotkania na kawie. Niecodzienny urok gwarnej kawiarni, brzdąkanie pianisty, zainteresowanie jakie wzbudza u siedzących obok przy stoliku młodych ludzi, silnie oddziałuje na psychikę dziewczyny.

Zaczyna bywać. Pewnego dnia daje się skusić na propozycję dancingu. Atmosfera nocnego lokalu, pierwsze kieliszki wódki, „dorosłe" emablowanie przez partnera, wprowadzają ją w świat dotychczas nie znany, a pełen dla niej uroku. I pierwszy krok już uczyniony. Następne prowadzą bardzo szybko do amatorskiej prostytucji, jeśli można użyć tego określenia. A chyba można na.. Aby się o tym przekonać wystarczy iść w sobotni wieczór do „Stylowej" i uważnie popatrzeć.

Odbywają się tam zwyczajne targi, przypominające niechlubne czasy Chmielnej czy Kruczej. Jedyną różnicą jest to, że nie proponuje się podczas nich pieniędzy, a parę wódek w nocnym barze „Kameralnej", „Bristolu" czy „Polonii", wesołą kolacyjkę w prywatnym mieszkaniu z perspektywą późniejszego dancingu lub odwrotnie.

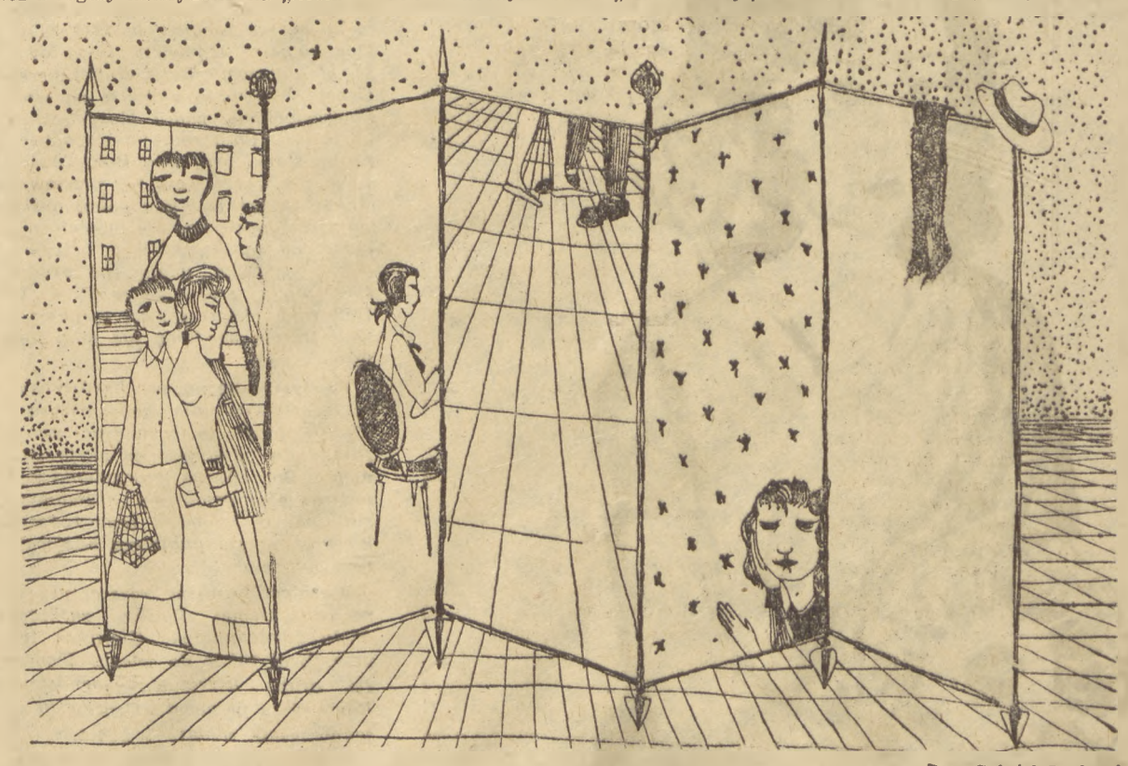

Rys. Gabriel Rechowicz

Nie chcę absolutnie sugerować, że większość z tych dziewcząt kontynuuje drogę, na którą wstąpiły. Przeciwnie — większość z nich orientuje się w porę, że zapoczątkowany tryb życia nie prowadzi do niczego dobrego, a przyjemności uzyskiwane dzięki niemu są mocno wątpliwe.

Te jednak, które pozostają, stanowią wystarczającą liczbę, aby zagadnienie urosło do rozmiaru poważnego problemu.

Nasuwa się tutaj palące pytanie: „Co jest przyczyną wykolejania się tych młodych kobiet, posiadających wszelkie prawa, by stać się pełnowartościowymi członkami społeczeństwa?"

Odpowiedź trudna. Istnieją przecież czynniki indywidualne, których nie da się wyeliminować, a to: cechy charakteru, temperament, stosunki rodzinne, kultura domu rodzicielskiego i wiele innych. Wydaje mi się jednak, że wspólnymi momentami, odgrywającymi niemałą rolę pośród poszczególnych indywidualnych przypadków, będzie:

po pierwsze — niedostateczna praca wychowawcza szkoły, przywiązującej jedynie wagę do postępów w nauce, a przeważnie zupełnie nie dającej baczenia na etyczno-moralną stronę wychowanki. Zbyt rzadki i przypadkowy raczej kontakt szkoły z opiekunami dziewczyny.

po drugie — niewłaściwa opieka rodziców, przejawiająca się w pierwszym rzędzie zupełnym brakiem zainteresowania psychicznym rozwojem córki.

po trzecie — zły styl pracy organizacji młodzieżowych na terenie szkoły, ograniczających z reguły swą działalność do przeładowanych deklaratywnymi wypowiedziami zebrań.

po czwarte — nieodpowiednia lektura. Wiele, wycofanych zresztą z oficjalnego obiegu, książek trafia w niepowołane ręce młodej dziewczyny, czyniąc niepowetowane zło. Przeprowadzana przeze mnie od przypadku do przypadku ustna ankieta wykazała, że najbardziej ulubioną powieścią wielu młodych dziewcząt jest „Łuk Tryumfalny" Remarque'a, a Joanna Madou — gloryfikowaną bohaterką.

Te cztery punkty stanowią zaledwie kanwę właściwej odpowiedzi. Poprzestanę jednak na nich, gdyż w dostateczny sposób naświetlają tę stronę zagadnienia.

Pozostało jeszcze jedno, najważniejsze pytanie: Jak powstrzymać rozwijające się w szybkim tempie zjawisko „etatowych konsumentek" — w jaki sposób zlikwidować istniejące zło? Intencja niniejszego artykułu — to właśnie chęć wywołania dyskusji, podsumowanie której udzieliłoby wyczerpującej i rzetelnej odpowiedzi na to pytanie.

Zbigniew Malarski

MAREK ŚLIWIŃSKI

ARTYSTA ŻARLIWYCH POSZUKIWAŃ

(W 10-tą ROCZNICĘ ŚMIERCI)

T. Czyżewski — Martwa natura (olej)

W SALACH Krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych w listopadzie roku 1917 otwarto przedziwną wystawę. Zamiast tradycyjnych polyczek bitewnych (głównie ułanów), barwnych i sentymentalnych wiejskich zabaw i nastrojowych pejzaży zimowych, zwiedzająca wystawę publiczność ujrzała obrazy przepełnione pasją deformowania postaci ludzkiej i otaczającego ją świata. Zamiast tradycyjnych portretów, w których odmalowywano dokładnie nawet przysiowiowe dziurki w guzikach, spinających kamizelki zasłużonych „ojcow świata" — wystawiono płótna, z ktorych wyzierały twarze ludzkie dramatyczne, porozbijane na szereg płaszczyzn i planów. W obrazach tych czuć było jakieś wielkie dążenie do tworzenia własnej rzeczywistosci malarskiej, dążenie do zerwania z naturalizmem. Było to wystąpienie grupy młodych malarzy - ekspresjonistów, którzy w dwa lata p żniej mieli przyjąć nazwę „formistów".

Ich dzieła wywołały burzę dyskusji, wzmagającej się stopniowo po każdej nowej wystawie. Znaleźli się napastliwi krytycy, ale jednocześnie zaczęli też odzywac się obrońcy nowatorow. We wspomnieniach swych z tego okresu Leon Chwistek, jeden z założycieli ruchu, tak pisze: „...W pewnych momentach wszyscy w Krakowie byli przekonani, że sprawy formizmu są najważniejsze i że od nich zależy cała przyszłość kultury". Konrad Winkler dodaje: „Przed gmachem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych na Placu Szczepańskim, gdzie otwarto wystawę formistów „ogonek" przed kasą dwukrotnie się „zakręcał". Czy ta szalona popularność wystawy mogła być dla formistów już zaspokojeniem ich dążeń, czy chodziło im li tylko o zadziwienie publiczności poprzez zaskakującą formę swych dzieł?

— Na pewno nie. Nie wystąpili oni w roli błazna „wymyślającego nowe sztuczki", aby zabawić swego pana. Był to wybuch nowych dążeń w sztuce polskiej. Ich celem było poszukiwanie — „rwali się do nowych form malarskich i rzeźbiarskich". Wystąpili z programem uderzającym w podstawowe zasady panującej w Polsce sztuki.

O tym, że dziwność, niepokojąca widzów niezwykłość ich sztuki nie narodziła się z dążenia do taniej sensacji, do oryginalności za wszelką cenę, najwyraźniej świadczy droga twórcza najwybitniejszego wśród nich — artysty żarliwych poszukiwań, Tytusa Czyżewskiego W zestawieniu z powierzchownymi wyobrażeniami o formizmie, dziwny musiałby wydawać się fakt, że pierwszymi mistrzami tego poszukiwania nowych form byli — snycerze i malarze ludowi polskiego

T. Czyżewski: Kobieta z wachlarzem (olej)

Podhala. Wśród nich i pod urokiem ich dzieł kształtował się talent Tytusa Czyżewskiego. Przyszedł na świat w Berdychowie w okolicach Limanowej, w kraju małych, rzeźbionych świątków, drewnianych kościołów i chat wiejskich bogato zdobionych wewnątrz malowidłami. Tam przeżywał pierwsze emocje obcowania z sztuką, które wycisnęły piętno na całej prawie jego twórczości. Pod wpływem ludowej sztuki stworzył później swój słynny obraz „Głowa Chrystusa" Prymitywy podhalańskie odegrały w jego twórczości podobną rolę jak sztuka murzyńska w poszukiwaniu kubistów. W nieudolnie ciętych kozikiem figurkach świątków odkrywał wartości, które przez całe życie umacniały go w walce z „doskonałością" naturalizmu.

Gdy młody chłopiec po ukończeniu gimnazjum w Nowym Sączu przeszedł z kraju swoich dawnych, „prymitywnych" mistrzów do Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, atmosfera tej uczelni wydała mu się całkowicie wyjątowiona z wszelkich elementów twórczych. Jak wielu jego rówieśników, zwrócił swe oczy na Paryż. Z tego właśnie okresu pochodzi obraz „Głowa Chrystusa", któremu patronował — wraz z malarzami podhalańskimi — Cézanne. W szkole francuskich poszukiwaczy — Moneta, Pissaro, Seurata, Van Gogh'a i Cézanne'a kończył edukację, którą zaczął u świątkarzy swego dzieciństwa. Postanowił szukać własnych środków plastycznych, środków, którymi mógłby wyrazić swoje własne ludzkie doświadczenia tak, jak przeżycia swoje odtwarzali artyści ludowi i wielcy mistrzowie paryscy. Gdy po kilkuletnim pobycie w Paryżu wraca do Polski, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, rozpoczyna się bardzo ważny okres w jego twórczości. Znajduje towarzyszy, wspólników ideowych. W 1917 roku razem z braćmi Pronaszkami, Chwistkiem, Hryńkowskim, Fedkowiczem, Gotliebem, Stan. Ign. Witkiewiczem, Zamojskim i Winklerem tworzy grupę skrajnych modernistów, pragnących „przeciwstawić się tępocie i ogólnej śpiączce, jaka panowała wówczas w sztuce polskiej". Występowali początkowo jako „ekspresjoniści". Głównym ich ogniskiem był Kraków; tam w kawiarni Noworolskiego, pod arkadami Sukiennic dyskutowali ze sobą Chwistek, Czyżewski, Pronaszkowie i Breiter, krytyk literacki, który zaproponował nazwę „formizm".

Następna wystawa — po owej pierwszej, tak burzliwej — odbywała się we Lwowie w 1918 roku. Ona również wywołała żywą dyskusję prasową. W podjętej przez Gazetę Wieczorną ankiecie na temt ekspresjonizmu padły głosy „za" i „przeciw". Po stronie nowego kierunku stanął prof. Jan Bołoz Antoniewicz pisząc: „Mam też przekonanie, że ekspresjonizm z pobojowiska wyjdzie zwycięsko, ale mocno pokaleczona opuści je jego przeciwniczka estetyka, gubiąc po drodze swe „nigdy" i swe „zawsze". — W 1919 roku ekspresjoniści zorganizowali trzecią wystawę już jako formiści.

Ta zmiana nazwy jest bardzo charakterystyczna dla ich postawy. Chcieli przez to zaznaczyć swoją zasadniczą odrębność od ekspresjonizmu. Początkowe wystąpienia pod nazwą ekspresjonizmu tłumaczyło się tym, że wówczas tego rodzaju kierunki opinia publiczna nazywała tym mianem.

Wkrótce formizm rozszerzył się na całą niemal Polskę, zyskując wielu zwolenników. Kierunek ten przeniknął także do poezji. Tworzy się grupa literatów - formistów. Również tu przewodzi Czyżewski — jednocześnie malarz i poeta.

Działalność formistów, jako zorganizowanej grupy trwała tylko kilka lat, bo już w 1922 roku następuje rozłam. Pisząc w 1938 roku wspomnienia o tej grupie, Tytus Czyżewski tak charakteryzuje ich dążenia: „My młodzi rwaliśmy się do nowych form malarskich i rzeźbiarskich". Te poszukiwania rodziły się ze sprzeciwu wobec sztuki panującej wówczas w Polsce. W tych samych wspomnieniach artysta tak opisuje stosunki towarzyszące powstaniu formizmu: „Sławna krakowska „Sztuka" z Mehofferem i Axentowiczem, osiadła już od wielu lat spokojnie na laurach. I trzeba przyznać, że było to wówczas przed formizmem jedyne towarzystwo artystów polskich, które stawiało sobie przynajmniej jakie takie zagadnienia plastyczne. Ale jednak zalatywało wówczas od „Sztuki" — nie tak może czystym impresjonizmem francuskim, jak wiedeńską „Secesją", przepuszczoną przez alembik monachijskiego Stucka lub paryskiego Bonnata. Atmosfera stawała się coraz bardziej ponura dla młodych malarzy".

Formiści uważali swe wystąpienie za wielką rewolucję w sztuce. Głosili i realizowali swe zasady z wielkim przekonaniem i entuzjazmem. Nie byli oni pierwszym, ani jedynym w tym czasie kierunkiem, który stawiał sobie tak radykalne zadania formalne. Wielką pochwałą kolorów świata, migocących w słońcu i rozpraszających kontury, był był impresjonizm. Reakcja przeciwko niemu była sztuka Cézanne'a, odkrywająca świat kolorowych form. Jeden z większych przełomów został dokonany przez kubistów, sprowadzających przedmioty do form geometrycznych. Bliskie czasowo formizmowi są ekspresjonizm i futuryzm. Wszelkie poszukiwania formalne Van Gogh'a czy Gauguin'a kryją w sobie wielką pasję życia, pasję wyrażania prawdy o świecie. „Chcę, by mówiono o moim dziele: ten człowiek czuje głęboko" — pisał Van Gogh w liście do swego brata Theo. Kubizm poszukiwał prawdziwych form przedmiotów nie przez odtwarzanie kształtów, jakie te przedmioty mają w naturze, ale przez sprowadzenie ich do brył geometrycznych. „Kryło się w kubizmie otum nieufności zgłaszane naturalnemu, niezmiennemu jakoby porządkowi świata" — trafnie pisze M. Porębski w artykule „Dwa programy" (Materiały do Studiów i Dyskusji nr 1, 1950 r.).

Jakie miejsca zajmują formiści tych kierunków sztuki? Ich „rwanie się do nowych form" nie było niczym innym, jak dążeniem do stworzenia nowego stylu w sztuce poprzez rewolucyjne rozprawienie się z naturalizmem. Było to poszukiwanie sztuki nowoczesnej, mającej odpowiadać przemianom cywilizacyjnym, zgiełkowi i dynamice nowego życia. Pragnęli się z tym nowym światem związać „czystą formą". Z odzyskaniem niepodległości Polski łączyli marzenia o wielkich możliwościach rozwojowych. Miała nastąpić „epoka ucisku z teraźniejszości" Nie u wszystkich formistów dążenia te zaznaczyły się jednakowo silnie. Najbardziej rewolucyjni byli Czyżewski i Chwistek. Nie poddając się formom zawartym w przyrodzie, formiści szukali autonomicznej wizji artystycznej, i to nie wizji powstającej z czysto intelektualnej kombinacji, ale ze „spontanicznego aktu twórczego". Realizacja tych dążeń wypadała jednak tak, że obrazy ich mają charakter przede wszystkim dekoracyjny i bardzo kompilacyjny. Do takiego wyniku przyczyniło się również dążenie do rytmizacji i dynamizacji kompozycji. Budulcem obrazu chcieli uczynić „czystą formę", wyzwoloną od „przypadkowości", jaka istnieje w przyrodzie. „Malarstwo nie może być powrotem do natury, malarstwo musi być zawsze powrotem do obrazu" — pisał Pronaszko w artykule o ekspresjonizmie w „Maskach" w 1918 roku. Zaraz też dodaje: „...Obrazem zaś jest celowe, logiczne wypełnienie pewnymi określonymi formami pewnej przestrzeni, stanowiącej w ten sposób jednolity, niezmienny organizm. Formą nazywamy konwencję, w jaką ujmujemy dany kształt". Charakterystyczną dla formistów ideą jest porownywanie sztuk plastycznych z muzyką; chcieli wypowiadac się w mularstwie i rzeźbie poprzez same formy plastyczne, odrzucając balast „narracji treściowej" zaczerpniętej z literatury. Określając swój rodowód artystyczny, formiści zawsze mówili o swym kulcie dla prymitywow w sztuce. Z tego wynikał ich wielki entuzjazm do sztuki średniowiecznej i ludowej Zwłaszcza ta druga wywarła doniosły wpływ na ich twórczość. Najwyraźniej widzimy to w dziełach Czyżewskiego. Wychowany pośród podhalanskiego ludu, wchłonął w siebie piękno jego sztuki, w duchu ludowych malowideł na szkle stworzył swój słynny obraz „Zbójnik tatrzański". Prostotę i piękno góralskich pieśni przejął do swego utworu poetyckiego „Pastorałki".

Założenia teoretyczne formistów były w okresie dwudziestolecia międzywojennego pierwszą oryginalną doktryną artystyczną; zawierała ona jednak tyle odmian, ilu było jej zwolenników „Każdemu wolno było malować tak jak czuje i tak jak chce, żeby było" napisał w swoich wspomnieniach w „Głosie Plastyków" w 1938 roku Leon Chwistek.

Niewątpliwie najwybitniejszym spośród nich był Tytus Czyżewski Największą sensacją były jego obrazy wielopłaszczyznowe, które tyle napsuły krwi publiczności i krytykom. W swych wspomnieniach artysta tak o nich pisze: „Wówczas na wystawie irytowały wszystkich kołtunów moje obrazy wielopłaszczyznowe. Skonstruowane z drzewa i kartonu były polichromowane. Chciałem w nich wyrazić w kilku płaszczyznach i przestrzeniach maximum plastyczności kolorowej formy". Słynnym takim jego obrazem jest „Salome".

Droga Czyżewskiego nie pozostała długo taka sama Przeszedł od formizmu na poszukiwania kolorystyczne. Początkowo zachowywał bryłę jako główny element budujący kompozycję. Stopniowo jednak jego zainteresowania przesunęły się na poszukiwania czysto kolorystyczne. Dominantą obrazów stają się barwy Reprezentuje on w tym linię malarstwa biegnącą od impresjonistów do Matisse'a. „Jeszcze za mych najwcześniejszych lat dziecięcych, jak tylko daleko pamięcią sięgnąć mogę — pisał Czyżewski w swych wspomnieniach — zawsze miałem ogromne zamiłowanie i prawie głęboki instynkt do wszelkich barw". — To zaważyło nad prawie całą jego twórczością.

W latach okupacji hitlerowskiej Czyżewski mieszkał w Warszawie. Tu, w pracowni na Woli dalej rozwijał swe dzieło. Doszły jednak nowe, dramatyczne tematy — bezlitosna zagłada stolicy i bohaterska walka jego ludu.

Umarł na czery dni przed ostatecznym zakończeniem wojny — piątego maja 1945 roku. Śmierć zabrała go nam, gdy był jeszcze pełen sił twórczych. Biorąc udział w ankiecie „Odrodzenia" — „W oczach pisarzy" mówił o swoich dalszych planach pracy Nie dane mu jednak było je zrealizować. Stratę tak wielkiego artysty wszyscy odczuli jako bolesny cios dla kultury polskiej. W prasie ukazywały się wspomnienia oceniające jego twórczość. Potem jednak wszystko ucichło. Przez wiele lat nic nie pisano o nim I dopiero teraz, dziesiąta rocznica śmierci Czyżewskiego zbiegła się niemal symbolicznie z niecierpliwie oczekiwanym przez wszystkich otwarciem Galerii Sztuki Polskiej dwudziestolecia międzywojennego. Umieszczone tam cztery jego obrazy przypominają nam o nie przedawnionych wartościach jego sztuki

Marek Śliwiński

T. Czyżewski — Martwa natura (olej)